

ŚWIAT



ŚWIĘTO LOTNICTWA

BŁĘKITNY REPORTAŻ

RYSZARD GAWOŃ

SPÓJRZ w niebo! Tam, nad najwyższą z chmur czernieją ciemne, niewielkie punkciki. Wstuchaj się w ciszę: dźwięczy w niej miarowy, spokojny śpiew silników.

Ciemne punkty powiększają się, rosną... zmieniały się już w małe sylwetki samolotów. Teraz zbliżają się z oszałamiającą szybkością — są w zenicie nieba... Nagle zniknęły!... Nie, nie zniknęły. Na płatach błyska słońce, potężnieje ryk silników. Nurkują pędząc prostopadłe ku szarej ziemi. W ciągu kilku sekund spadają z siedmiu, sześciu, pięciu tysięcy metrów...

W załamanym locie trysnęły ponownie w górę. Poszły — groźne, pancerne maszyny...

To młodzi piloci szkół oficerskich wykazują swą sprawność bojową. Stoją oni na straży naszego pokojowego budownictwa, wiernie strzegą naszych osiągnięć w walce o lepsze jutro.

Dziś, kiedy po raz szósty obchodzimy w Ludowej Ojczyźnie Święto Lotnictwa, demonstrują oni swe osiągnięcia w wyszkoleniu lotniczym.

Słyszysz głos spikera? Mówi do tłumów zebranych na lotnisku.

— Uwaga!...

Hallo, proszę państwa, nadajemy reportaż ze Święta Lotnictwa... właśnie jesteśmy na lotnisku. Przed nami, po zielonej płaszczyźnie trawy biegną w dal długie, betonowe pasy startowe...

— Uwaga! W tej chwili startuje samolot odrzutowy. Lekko odrywa się od ziemi, przelatuje nad wierzchołkami drzew na skraju lotniska. Rykiem silników rozdziera przestrzeń, aby wyrzelić w górę „świecę” i zniknąć w białej chmurze. Lecz znowu go widać, powraca...

— Proszę państwa — pętla!... Wspaniale!... Maszyna nurkuje, przewala się przez plecy, lekko zatacza w powietrzu pętlę i rozpędzona leci w dół. Szybkość? — około 800 km/godz.

— Teraz pilot wyrównuje... Otóż pierwszym lotnikiem, który wykonał pętlę — jeszcze przed pierwszą wojną światową — był Rosjanin Niestierow.

— W tej chwili nasz znajomy odrzutowiec robi beczkę: a więc samolot obraca się dookoła własnej osi, zataczając końcami skrzydeł kształt walca. To jest właśnie beczka.

— Pięknie wykonana, prawda... Ale dla pilota bardzo męcząca. Widzimy, że chce on odpocząć, gdyż powoli przewraca się na plecy i leci tak dłuższy czas.

— Maszyna powraca do normalnego położenia. Z rykiem silnika przechodzi nisko nad trybuną... i prawie stromo wyskakuje w górę — leci do słońca... Cóż to? — silnik zamarł... Samolot wali się w lewy skręt...

Jedna, druga, trzecia... szósta, siódma — kręci zwitki korkociągu.

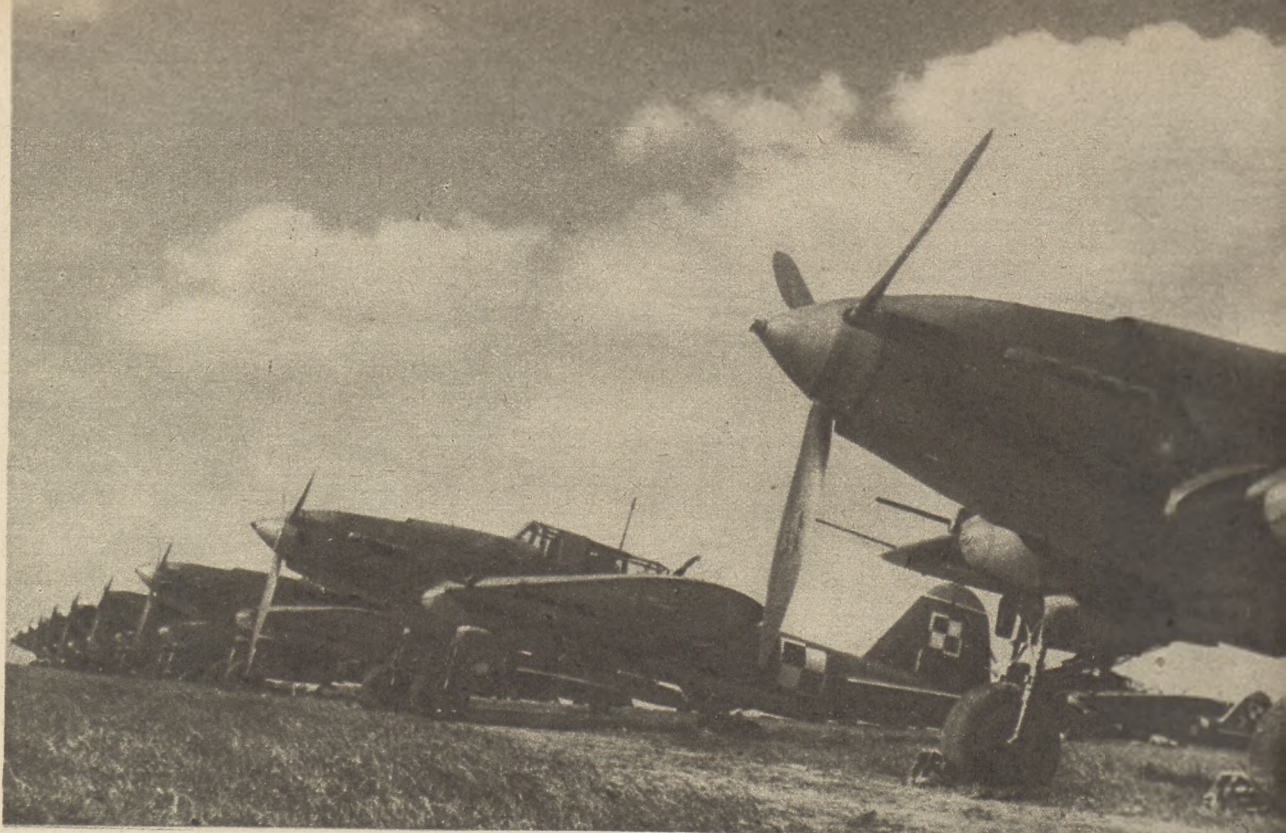
...Już jest nisko. Gwałtownie wyskakuje z ciasnego kręgu. Ponownie leci nad trybunami. Wydaje nam się dziwnie bliski. Wyciągnięte ręce powiewają ku niemu chusteczkami. Przez ułamek sekundy w kabinie widać uśmiechniętą twarz pilota.

Jest zadowolony. Zademonstrował na swej maszynie klasę pilotażu, jaką wykazywali w walkach piloci-bohaterzy ppłk. Wicherkiewicz, kpt. Chromy, por. Kalinowski, którzy zginęli dla lepszego jutra Polski Ludowej.

Nie na darmo uczyli go wspaniali instruktorzy, piloci I-go pułku „Warszawa” — wychowankowie lotników radzieckich. Pod ich kierunkiem doskonale opanował najwyższej jakości sprzęt radziecki.

Ryk silnika potężnieje. Maszyna powraca. Z wysokości, lotem nurkowym, spada na trybuny — wytryska nisko nad zieloną trawą i... powoli odlatuje, żegnając nas miarowym kołysaniem skrzydeł.

Od starannej opieki nad silnikiem zależy sprawność maszyny. Dlatego też przed każdym lotem ćwiczebnym należy dokładnie sprawdzić motory.



Samoloty szturmowe czekają na znak startera... Na takich maszynach 20 sierpnia 1944 r. po raz pierwszy starli się z wrogiem piloci I Dywizji Lotniczej. Hitle-

rowcy znów ujrzeni w powietrzu samoloty z białoczerwoną szachownicą na skrzydłach. 23 sierpnia pułk „Warszawa” i 3 pułk szturmowy niszczą umocnienia

nieprzyjaciela w rejonie Warki. Lotnicy polscy na doskonałych maszynach radzieckich poważnie przyczynili się do złamania obrony hitlerowskiej pod Warszawą.



Oficer-pilot Płoszański jest przodownikiem wyszkolenia politycznego i bojowego w jednostce myśliwskiej. Jest jednym z młodych pilotów, czujnych strażników granic powietrznych. W dniu Święta Lotnictwa Płoszański poprowadzi odrzutowiec

IANUSZ MIKIEWICZ

PIOSENKA STAŁOWYCH PTAKÓW

Po polskim niebie,
Nad ziemią moją
Szybują białe gołębie pokoju.

Aby nie stało się tu nic złego,
Nasze eskadry
Canjnie go strzegą.

Po polskim niebie,
Po niebie naszym
Szybują klucze stalowych maszyn.

Ziemi, ziemi, ziemi
Hukiem traktorów,
Wtórąj kłębogot
Naszych maszyn...

Stalowych ptaków piosenka rozbrzmiewa!
Jestem stąd polskiego nieba,
Wyniemy niebem, aby przetrwać
Strzec polskiej ziemi, polskiego morza!



Uwaga — start! Za chwilę zamknij się owiewka kabiny. — Gotowe? — Gotowe! Bojowa maszyna powoli kołuje na start, aby wyruszyć na kolejne, codzienne

zadanie ćwiczebne, których wiele wypełnia pracowity dzień pilotów — uczniów Oficerskiej Szkoły Lotnictwa. Wytrwają i usilną pracą uczniowie osiągną coraz

to wyższy poziom wyszkolenia, aż dojdą do tej doskonałości, którą będziemy podziwiać na pokazach podczas uroczystości związanych ze Świętem Lotnictwa.

ODBUDOWUJEMY



Fabryka Celulozy i Papieru w Skawinie pod Szczecinem, odbudowuje się. Pierwsze oddziały fabryki ruszą w przyszłym roku. (CAF)

się. Pierwsze oddziały fabryki ruszą w przyszłym roku. (CAF)

WYSTAWA ROLNICZA W CZĘSTOCHOWIE



W Częstochowie została otwarta doroczna wystawa rolnicza. Na otwarcie przybyło wiele tysięcy chłopów z pow. częstochowskiego, którzy z zainteresowaniem oglądali eksponaty (zdjęcie na lewo). Państwowe Gospodarstwa Rolne zaprezentowały na wystawie piękne okazy hodowlane (zdjęcie na prawo). (CAF)

ROZDARLI ŻELAZNĄ KURTYNĘ



Policja amerykańska zatrzymała w Innsbrucku 300 młodych Anglików, udających się na Złot do Berlina, kładąc im wrócić do kraju. Młodzi bo-

jownicy o pokój nie ustąpili przed terrorem. Przez 24 godziny demonstrowali oni przed konsulem brytyjskim i uzyskali cofnięcie zakazu.

TERROR POLITYCZNY W USA



Na terenie całych Stanów Zjednoczonych odbywają się masowe aresztowania działaczy komunistycznych i postępowych. W Nowym Jorku aresztowany został m. in. działacz kalifornijski, William Schneiderman (zdjęcie na lewo). W Baltimore policja uwięziła adwokata Bravermana (zdjęcie na prawo), który występował jako obrońca oskarżonych komunistów. Bezprawne aresztowanie obrońcy wywołało ostre protesty w kołach adwokatów amerykańskich. (INP)

REMILITARYZACJA JAPONII



Władze amerykańskie przeprowadzają w szybkim tempie remilitaryzację Japonii. Utworzony rok temu z polecenia Mac Arthura t.zw. korpus policyjny, liczący 75.000 ludzi, szkolony jest jako kadra nowej armii. Korpus

zaopatrzone jest w broń amerykańską i ćwiczone przez amerykańskich instruktorów. W tych dniach członkowie rządu japońskiego dokonali przeglądu jednostek nowej armii japońskiej, po czym odbyła się defilada.

NAM IR SPOGLĄDA NA ZEGAREK



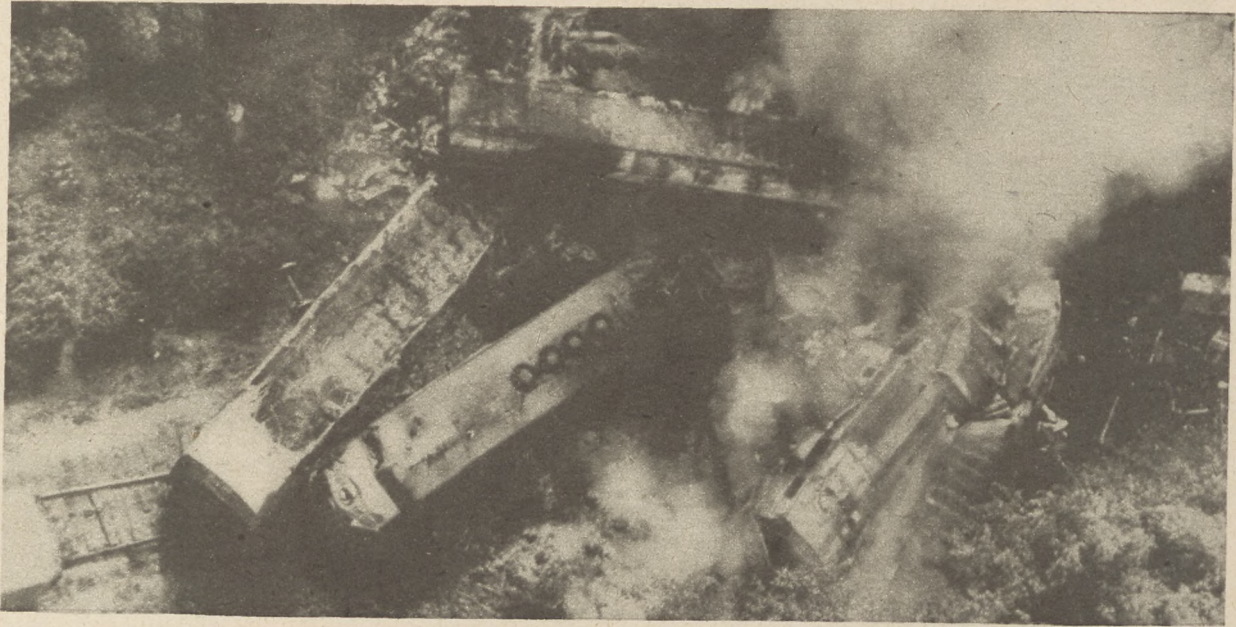
Przewodniczący delegacji koreańskiej w Kaesong, gen. Nam Ir niecierpliwie spogląda na zegarek. Amerykanie przewlekają obrady w nieskończoność, pragnąc nie dopuścić do zawieszenia broni. (INP)

NARÓD IRAŃSKI NIE ODDA NAFTY



Działacz irański, Kashani, w rozmowie z wysłannikiem brytyjskim, Stokesem, oświadczył, że naród irański w żadnym wypadku nie ścierpi naruszenia ustaw o nacjonalizacji przemysłu naftowego. (INP)

KATASTROFA TRANSPORTU WOJSKOWEGO W USA



14 ludzi poniosło śmierć, 288 odniosło rany w czasie strasznej katastrofy kolejowej w stanie Luizjana, gdy pociąg wojskowy zderzył się z ekspressem

pasażerskim. Siła zderzenia była tak wielka, że lokomotywy i wagony obu pociągów stoczyły się z nasypu na rozciągające się wokół bagniska, (INP)

NOWY WYBRYK FASZYSTÓW DE GAULLE'A



Bojówkarze faszystowscy spod znaku de Gaulle'a dokonali zamachu na lokal Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Radzieckiej. Do księgarni Towarzystwa przy ul. Pont Louis Philippe w Paryżu podrzucili

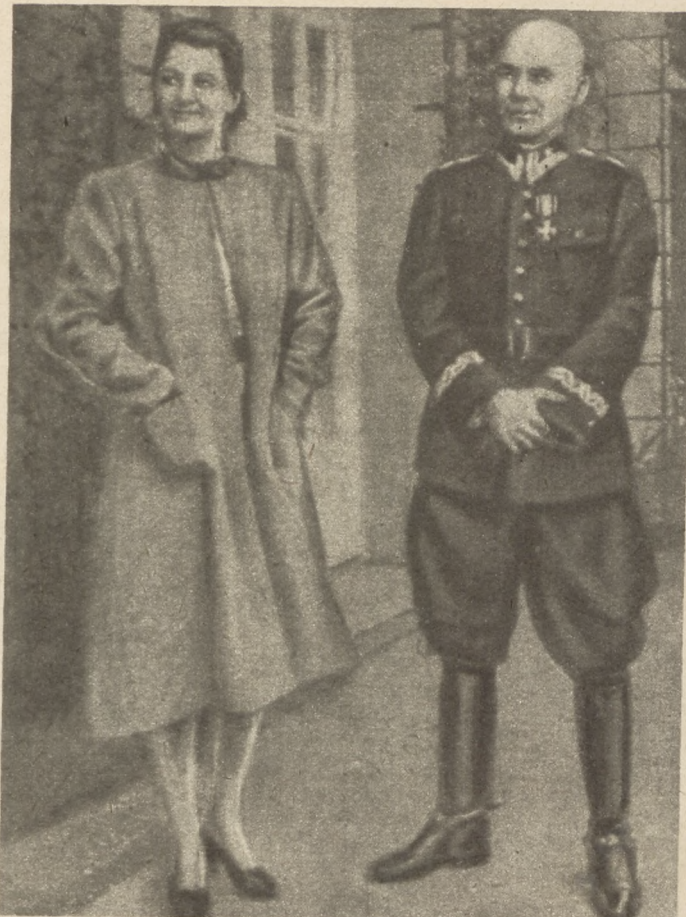
oni bombę, która wybuchając wyrządziła poważne szkody. Jest to już czwarty zamach dokonany w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Władze twierdzą, że śledztwo „nie dało dotychczas wyników”. (INP)

MORDERSTWO NA LAZUROWYM WYBRZEŻU ODSŁANIA BAGNO SZAJKI SANACYJNYCH EMIGRANTÓW

Przez kilka dni brukowa prasa francuska miała sensację nie lada. Z rzeki Riviery koło Villefranche wyłowiono odciętą nogę kobiecą, a następnie pod mostem Cros d'Utelle znaleziono worek z poćwiartowanymi zwłokami kobiety bez głowy, nóg i rąk. Wszczęte natychmiast śledztwo ustaliło nazwisko zamordowanej. Była nią wdowa po Rydzu-Smigłym, znana krupierom Monte Carlo, stała bywalczyni domu gry, protektorka młodych ludzi, szukających łatwego zarobku u bogatych, starszych, żądnych silnych wrażeń kobiet. Podejrzanie o morderstwo padło na niejaki Romanowski, b. pułkownika sanacyjnego, który handlował biżuterią Smigłowej, i na jego przyjaciela Nassalskiego, trudniącego się zawodem paserstwem.

Sprawa zdawałoby się banalna i dość pospolita w sferach niebieskich ptaków. Ale oto na arenę weszła „wielka polityka” szumowin emigracyjnych. Bo Romanowski jest zięciem Andersa, a u Rydzowej bywała przecież cała „śmietanka” sanacyjna.

Trzeba było za wszelką cenę ukreślić łeb całej aferze. Sam Anders zjechał do Nicei. Odbył kilka rozmów z policją, i przedstawicielami reakcyjnej prasy francuskiej. I cała sprawa została zatuszowana przez miejscowe władze.



Zonie marszałka katastrofę wrześniowej, p. Rydzowej, nie brakło środków na najbardziej wystawne życie w luksusowym domu w Monte Carlo na Lazurowym Wybrzeżu. Ruletka, narkotyki, młodzi, suto opłacani przyjaciele, orgie nocne — oto na co szły pieniądze skradzione narodowi polskiemu i wywiezione drogą na Zaleszczyki we wrześniu 1939. Na zdjęciach: z lewej: Smigły-Rydz z żoną; u góry: w kasynie gry; z prawej: ostatnie zdjęcie Rydzowej. (INP)

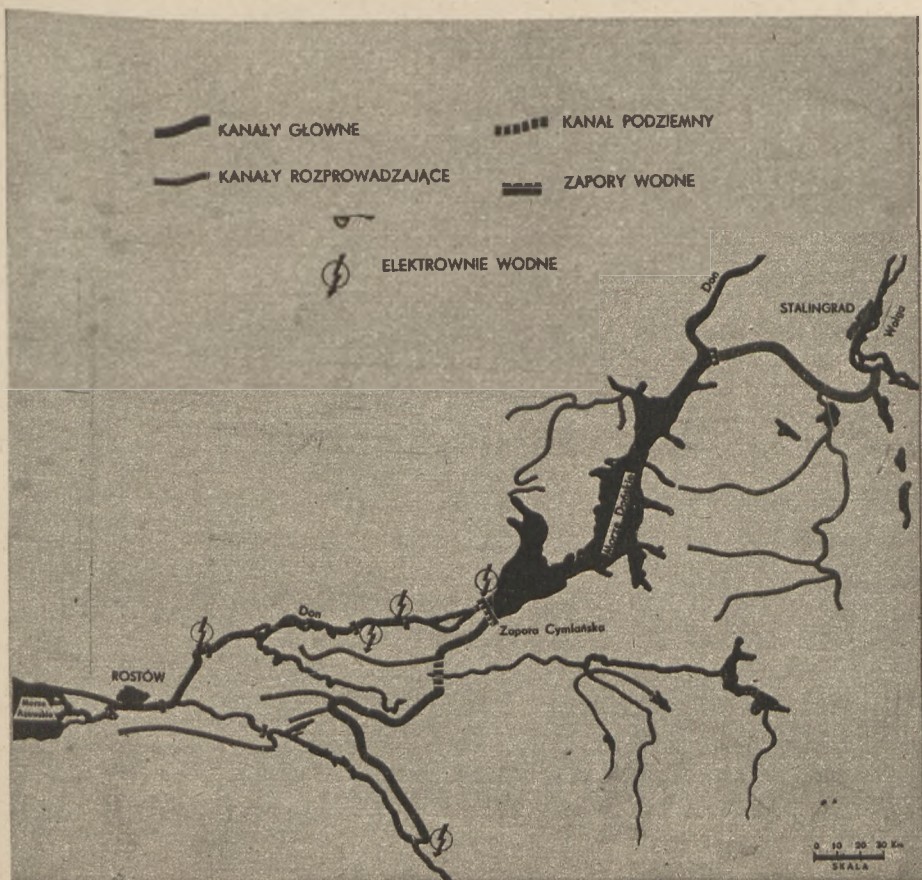




MŁODZI GEODECI RADZIECCY WIRIASOWA I GOŁOWANOW WYTYCZAJĄ OŚ WYKOPU PRZY BUDOWIE GIGANTYCZNEJ ZAPORY CYMLAŃSKIEJ.

WIELKA BUDOWA NA FINISZU

PRACE PRZY KANALE WOŁGA-DON I ZAPORZE CYMLAŃSKIEJ DOBIEGAJĄ KOŃCA



KIEDY z platform kolejowych wyładowywano pachnące jeszcze farbą i smarami części, kiedy rozpoczęto montaż nowych kopaczek — już zaczęli przychodzić ludzie z budowy. Przyglądali się, kiwali głowami, dzielili się uwagami.

— Niezła maszynka, szkoda gadać!

— Jaka to marka? ESZ-1? Aha, to te średnie kopaczki.

— Ładne mi średnie! Przecież to krocząca kopaczka, ma czerpak objętości trzech i pół metra.

— Nie trzech i pół, tylko trzech i czterech dziesiątych, i nie metrów, tylko metrów sześciennych.

— A jaką ma normę? Coby z pięćset kubometrów!

— Więcej, 828 kubometrów w ciągu zmiany.

— Tylko tyle? Nasi na pewno przekroczą!

„Nasi” — to znaczy z naszej budowy, z Wołgo-Donu. Członkowie wielotysięcznej rodziny budowniczych wierzą w swoich ludzi, znają swój styl pracy: przeszkoda? — przezwyciężyć! Norma? — przekroczyć! Termin? — skrócić!

A przyjezdni technicy, zatrudnieni przy montażu, uśmiechali się pod wąsem: „Nie tak łatwo będzie tę normę przekroczyć, nie łudźcie się”.

Zmontowali, przeprowadzili próby i pojechali do siebie, do Nowo-Kramatorska. I wkrótce nadchodzi list z

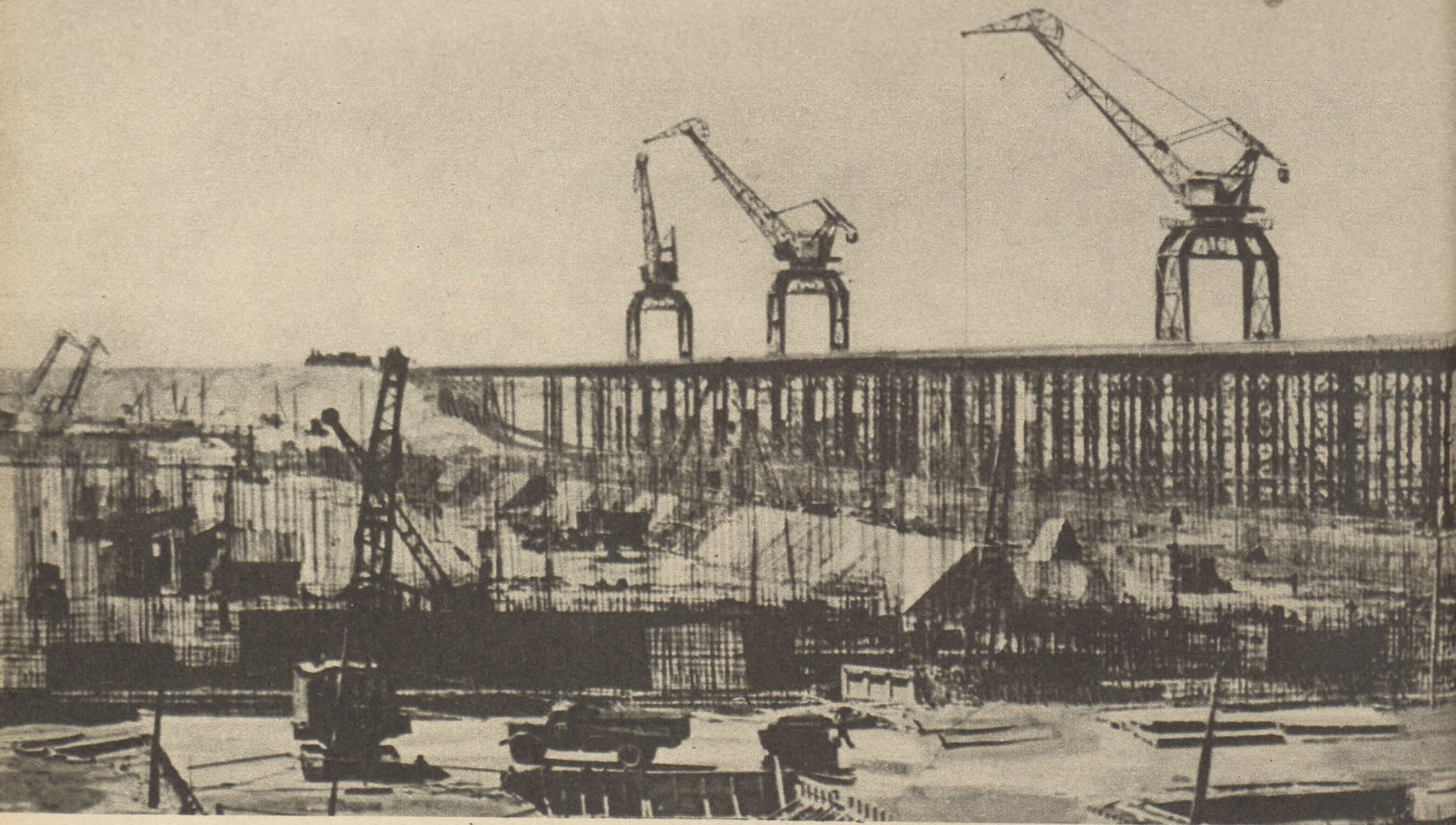
budowy. Uprzejmy, z wyrazami uznania, z podziękowaniami za znakomite maszyny. A na samym końcu wzmianka: że najlepsze brygady, obsługujące kopaczki ESZ-1, osiągają już wynik 1200 m³ w ciągu zmiany. List jednak zawierał nieścisłość. Zanim bowiem dotarł do rąk adresatów, jedna z brygad osiągnęła już wynik 1450 kubometrów w ciągu zmiany.

Ludzie Wołgo-Donu wiedzą: jeśli jakaś jednostka czy brygada osiągnie wspaniały wynik, to wkrótce potem podnoszą wydajność inne brygady. Na naradach wytwórczych, na „błyskawicznych”, kilkugodzinnych kursach — stachanowskie metody pracy stają się własnością wszystkich.

Tak było i z brygadami ESZ-1. Na coraz to nowych kopaczkach pojawiały się czerwone szturmówki ze zwyciężym napisem: „200%”. I na pewno budowniczowie z innych odcinków przychodziliby oglądać stachanowców, gdyby nie to, że na ich odcinkach sytuacja była podobna.

Wkrótce jednak zdarzył się fakt, który zwrócił na kopaczki ESZ-1 uwagę całej załogi gigantycznej budowy. Skromny brygadziśa Iwan Chudiakow ustanowił rekord, wydobywając 2300 m³ gruntu. 278% normy! Dotychczasowy przodownik współza-

Dokończenie na str.



PANORAMA, PRZYPOMINAJĄCA RYSUNEK Z FANTASTYCZNEJ POWIEŚCI. TAK PRZED MIESIĄCEM WYGLĄDAŁ METALOWY SZKIELET WIELKIEJ ZA-

Dokończenie ze str. 5

wodnictwa, Iwan Jermolenko przybiegł pierwszy do rekordzysty:

— Gratuluję... No, pokaż, jak ty to robisz?

Chudiakow pokazał, wytłumaczył. Jermolenko uważnie słuchał, notował, zajrzał tu i tam... I po miesiącu gruchnęła na budowie wieść: brygada Jermolenki wykopała w ciągu zmiany 2650 kubometrów. 320% jak uła! Teraz gościem był Chudiakow:

— Moje uznanie, moje uznanie.... Cóż, zaczynaj wykład, profesorze....

I nazajutrz Łukin z brygady Chudiakowa pobił wynik „profesora” o 10 kubometrów. Skromnie, ale pobił. Cała budowa, która z uwagą śledziła przebieg wspaniałego wyścigu, dowiedziała się o tym o drugiej po południu, dnia 22 lipca, bezpośrednio po zakończeniu zmiany. Jermolenkę otoczyli koledzy. „Co ty na to? Nie stać cię na więcej?”

Jermolenko spokojnie spożywał obiad. Zjadł kompot do ostatniej łyżeczki, wstał i rzekł krótko:

— Jutro będzie nowy rekord..

Tej samej nocy brygada Jerinolenki ustanowiła światowy rekord dla kopaczek o czepaku 3,4-metrowym, wydobywając 2750 m³ gruntu, co przewyższa o 40 m³ najlepszy dotychczas wynik Seliwerstowa. Pierwszym, który gratulował rekordzistę, był szczupły, małomówny Iwan Chudiakow. Cały dzień Chudiakow chodził koło swoich ludzi, mierzył, liczył, zapisywał, poprawiał wybijające się spod czapki jasne włosy, znów liczył, notował. A nazajutrz...

Nazajutrz, 24 lipca, padł nowy rekord: brygada Chudiakowa wykopała 3145 metrów sześciennych, wykonując blisko 380% normy.

Wiadomość o sukcesach obu brygadzystów została wydrukowana na pierwszej stronie „Prawdy” z 26 lipca.

* * *

Każdemu, kto przejrzy gazety radzieckie z ostatniego półroczka, rzuci

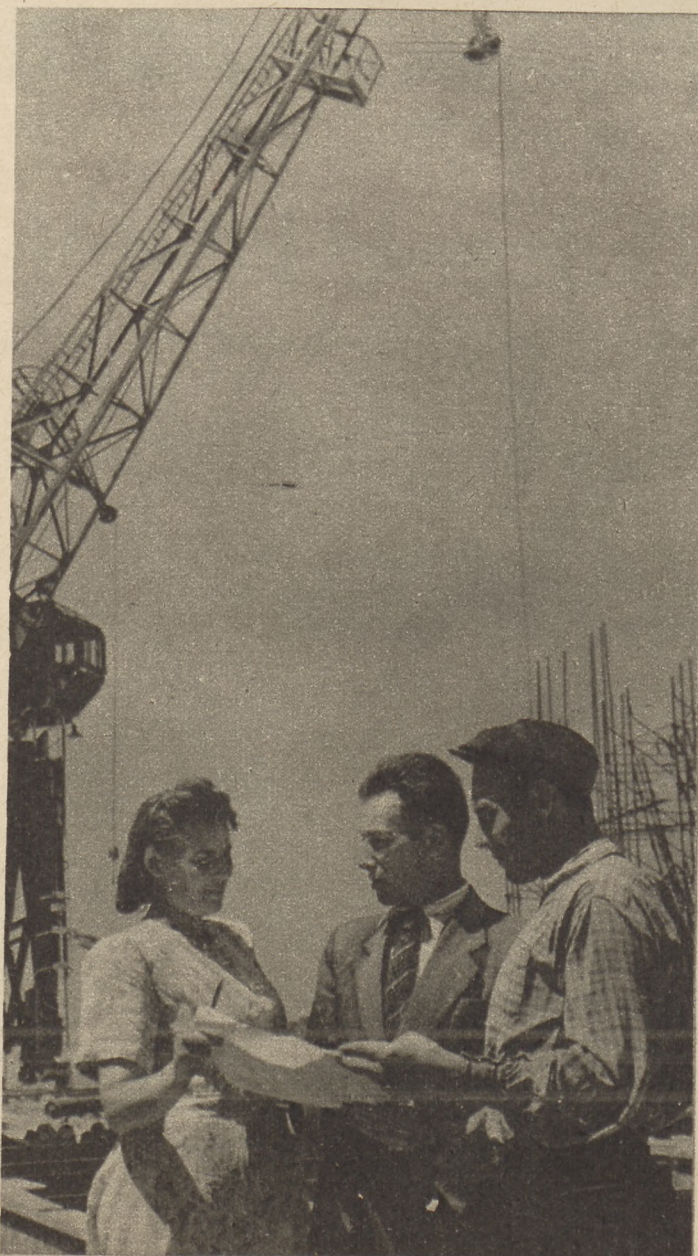
się w oczy fakt: nie ma prawie dnia, by prasa nie doniosła o sukcesach, osiągnięciach i rekordach budowniczych kanału Wołga-Don, by nie miała najskromniejszej choćby korespondencji z rejonu Cymlańskiej.

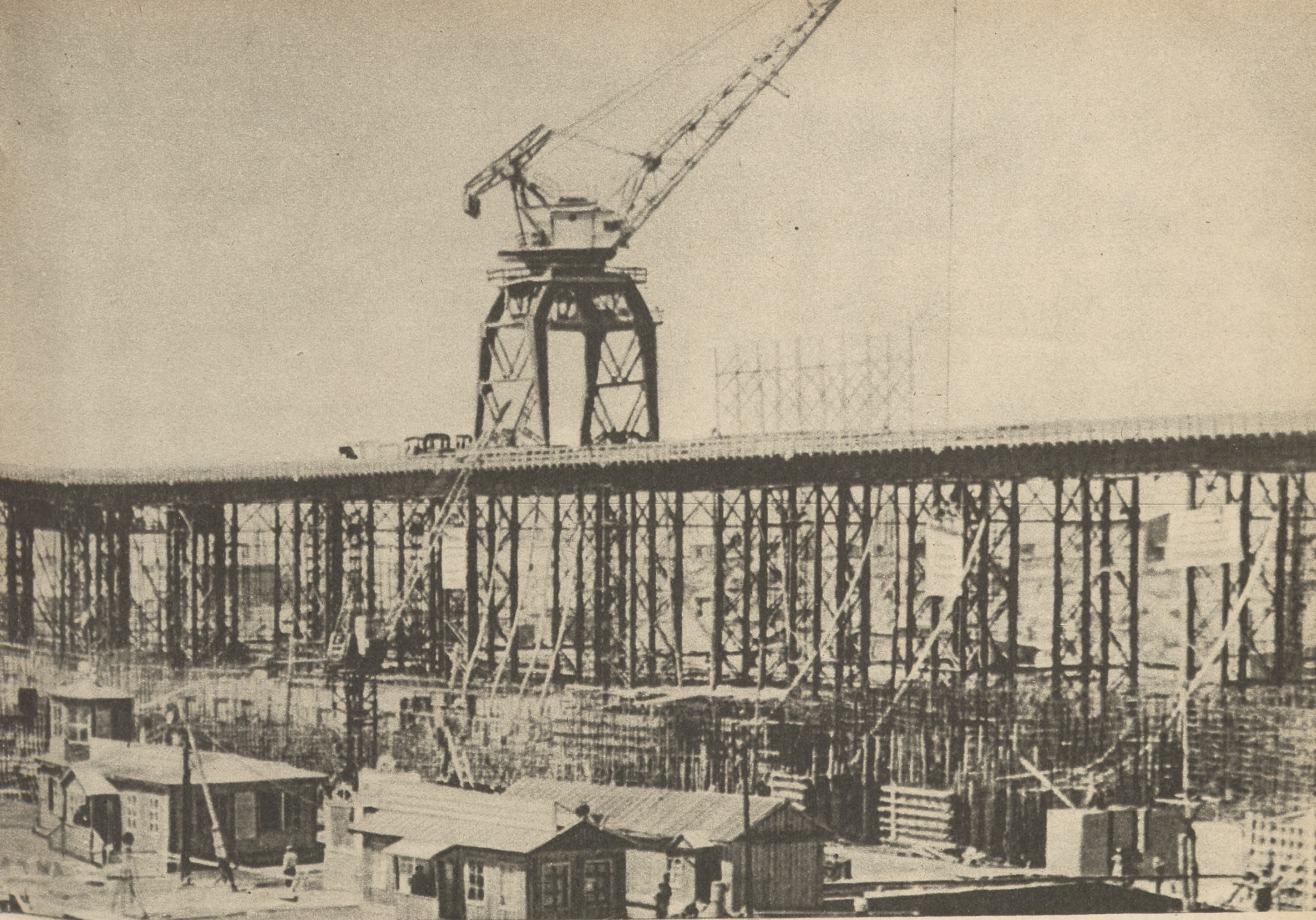
W tej chwili rejon stacji Cymlańskiej — to gigantyczny plac budowy. Kopaczki i dźwigi, pociągi i wybuchy dynamitu, długie sznury ciężarówek i ogromne pogłębiarki. Ażurowa sylwetka stalowej konstrukcji zapory wypełnia się betonem. Ekskawatory ryją dno przyszłych portów. Wszędzie — maszyny, maszyny, maszyny... Tak wygląda dziś Cymlańska.

A za kilka miesięcy... Przeszło stu-kilometrowy kanał z 13 śluzami połączy dwie wielkie rzeki: Wołgę i Don. Olbrzymia, trzynastokilometrowa zaporą przegrodzi Don, który na odcinku Kałacz - Cymlańska przekształci się w nowe morze — morze Dońskie — długości 180 i szerokości do 30 kilometrów. Cymlańska elektrownia wodna o mocy 160.000 kilowatów da prąd przyszłym portom, miastom, popędzi kanałami wodę Donu na wyschnięte stępy Salskie i Stalingradzkie. Potężna arteria komunikacyjna połączy pięć mórz: Bałtyk, morze Białe i Czarne, Kaspijskie i Azowskie...

A nasi znajomi Chudiakow i Jermolenko — podobnie, jak tysiące innych maszynistów i geologów, szoferów i traktorzystów, hydrologów i mechaników — ostatni raz rzucą okiem na wspaniałą budowę, załadują sprzęt i pojedą w różne strony: do Kachowki i Kujbyszewa, do Stalingradu i Turkmenii — wznosić nowe budowle komunizmu.

Na budowie jednej z trzynastu śluz kanału Wołga-Don. Kierownicy budowy odcinka z nieukrywaną radością stwierdzają, że postęp prac coraz mocniej wyprzedza harmonogramy...





PORY CYMLAŃSKIEJ. DZIŚ, ZNACZNA JEJ CZĘŚĆ WYPEŁNIONA JUŻ JEST BETONEM. A ZA KILKA MIESIĘCY KANAŁ POŁĄCZY DWIE WIELKIE RZĘKI.

KOPACZKA - GIGANT

NA BUDOWIE kanału Wołga-Don została po raz pierwszy zastosowana największa na świecie maszyna budowlana — kopaczka krocząca ESZ-14/65.

Maszyna ta waży 1.100 ton. Czerpak jej, o pojemności 14 metrów sześciennych, zawieszony jest na strzale długości 65 metrów. ESZ-14/65 może z głębokości 45 metrów (13 pięter!) zaczerpnąć ponad 30 ton gruntu (2 wagony!) i odrzucić na odległość do 130 metrów. Całą tę operację wykonuje kopaczka w ciągu 56 sekund.

ESZ-14/65 przesuwa się z miejsca na miejsce przy pomocy specjalnego urządzenia. Przypomina w ruchu przedpotopowe gady-olbrzymy. Ruch kopaczki odbywa się tak płynnie, że znajdujący się w kabinie ludzie zupełnie go nie odczuwają.

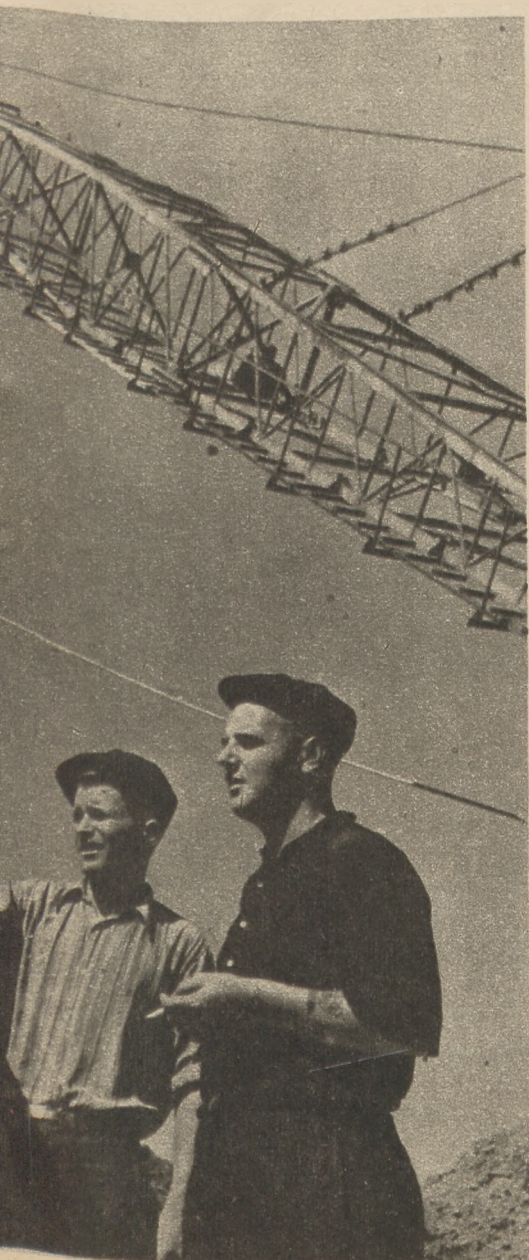
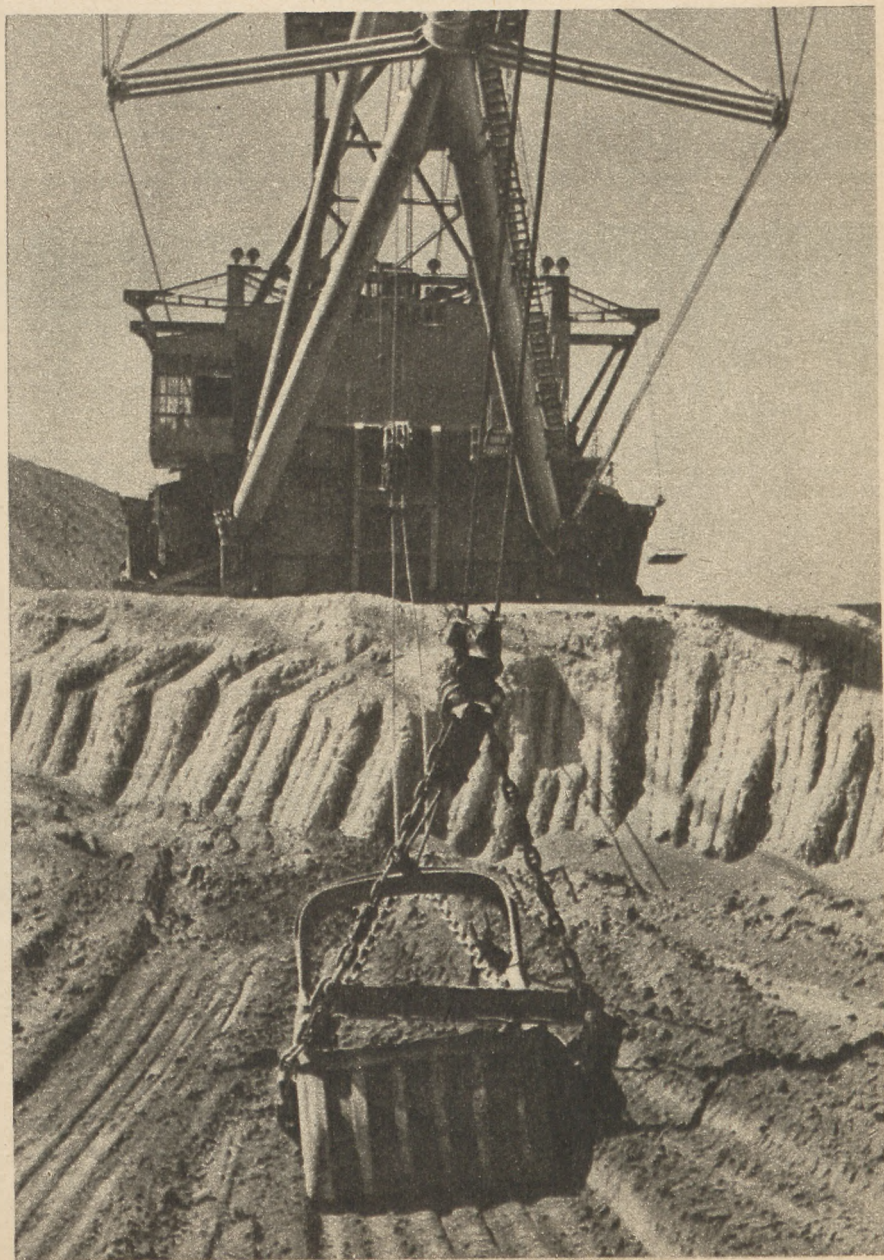
Kopaczka ESZ-14/65, obsługiwana przez pięciu ludzi, wydobywa do 12 tysięcy metrów sześciennych gruntu dziennie, zastępując ręczną pracę 7.000 kopaczy.

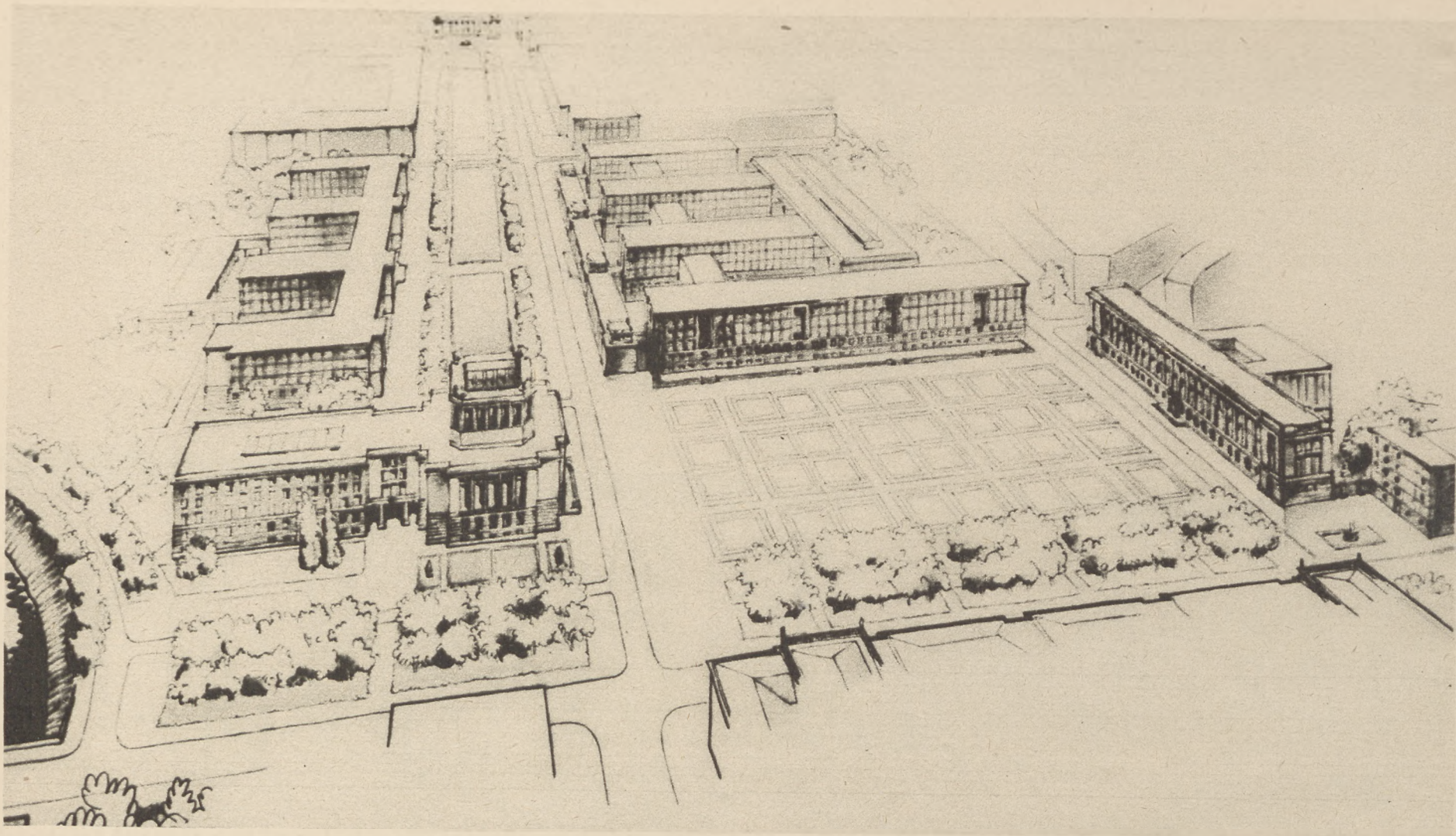
ESZ-14/65 została zaprojektowana przez radzieckich konstruktorów i wykonana przez załogę Uralskich Zakładów Budowy Maszyn Ciężkich (Urałmasz). Całkowity czas projektowania i budowy kopaczki wyniósł 20 miesięcy.

Dla porównania warto zaznaczyć, że w Anglii przystąpiono do zaprojektowania podobnej maszyny w roku 1946. Minęło pięć lat — i nie tylko nie widać maszyny, ale nawet jej planów...

Na prawo: największa na świecie kopaczka ESZ-14/65 wydobywa 30 ton ziemi swym gigantycznym czerpakiem.

Na lewo: Chudiakow i Jermolenko na pewno w tej chwili obmyślają sposoby lepszej pracy kopaczką ESZ-1.





175 HEKTARÓW POWIERZCHNI ZAJMIE PIĘKNE MIASTO UNIWERSYTECKIE W GLIWICACH, OBEJMUJĄCE GMACHY POLITECHNIKI ŚLĄSKIEJ

GLIWICE — DZIELNICA UNIWERSYTECKA

Zdjęcia: PRACOWNIA FOTOGRAFII POLITECHNIKI ŚLĄSKIEJ

175 HEKTARÓW to powierzchnia sporego miasta powiatowego w Polsce. A taki właśnie obszar zajmuje dzielnica uniwersytecka w Gliwicach, obejmująca zabudowania Politechniki Śląskiej oraz ogromny park. Powstaną w jej ramach nowe gmachy wydziałów górniczego, inżynierii budowlanej, elektrotechnicznego itd. Już w roku bieżącym oddane będą do częściowego użytku gmachy wydziału inżynierii budowlanej oraz Instytutu Górniczego. Nowy gmach Biblioteki

Politechnicznej pomieści księgozbiór liczący milion tomów.

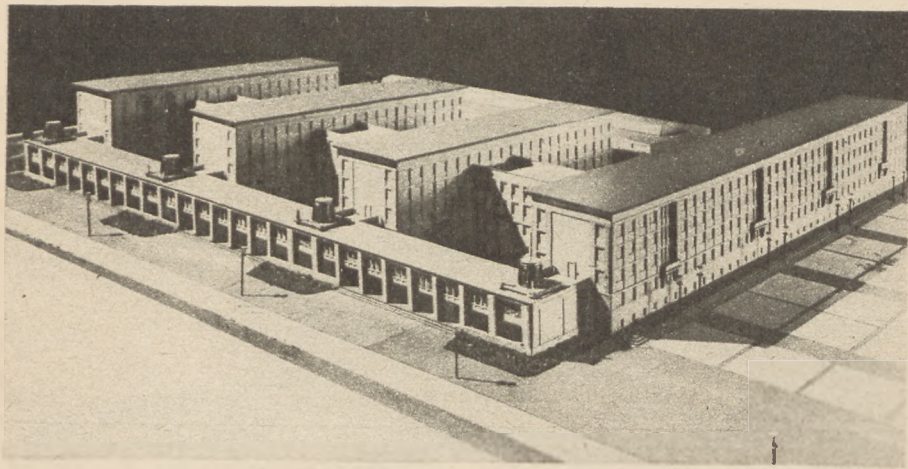
Studenci Politechniki w Gliwicach korzystać będą z licznych urządzeń społecznych. Wspaniały internat pomieści blisko 60 procent studiujących. Dom Społeczny Studenta będzie ośrodkiem życia kulturalnego i społecznego Politechniki. Stołówka akademicka obliczona jest na wydawanie systemem taśmowym kilku tysięcy posiłków w ciągu godziny.

W ciągu pięciu lat Politechnika w Gliwicach po-

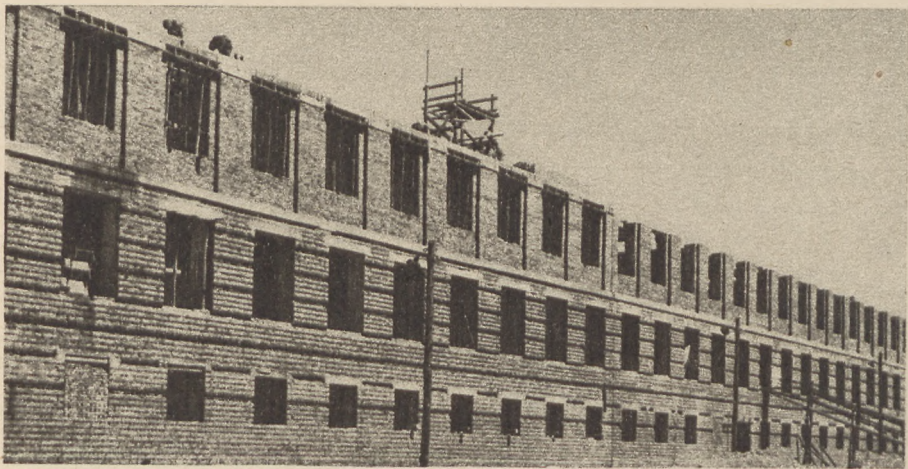
dwoi liczbę studentów i potroi liczbę wydawanych dyplomów.

Dzielnica uniwersytecka w Gliwicach nie będzie miała charakteru wyodrębnionego miasteczka. Będzie ona ściśle związana z życiem miasta, a architektonicznie i urbanistycznie szarmonizowana z całością Gliwic.

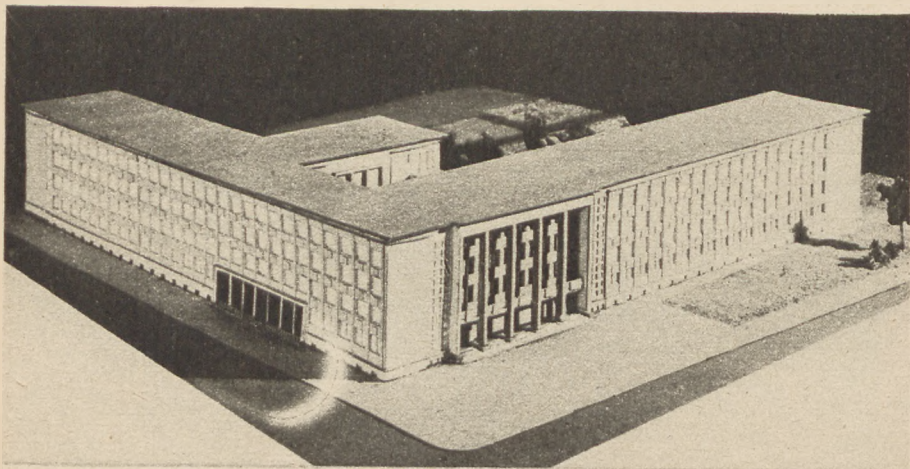
Rozbudowana Politechnika Śląska będzie jednym z największych w Polsce ośrodków kształcenia kadr inteligencji technicznej, która stanie w szeregach budowniczych Planu Sześcioletniego.



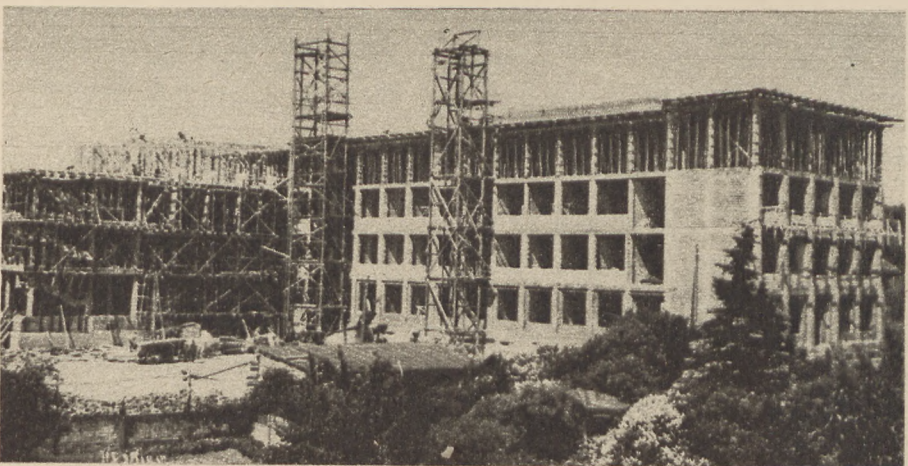
Projekt Instytutu Górniczego opracowany przez inż. Duchowicza i Majerskiego.



Jeszcze w roku bieżącym gmach instytutu oddany będzie do częściowego użytku.



Projekt gmachu Wydziału Inżynierii opracowany przez prof. Todorowskiego.



W roku bieżącym oddana będzie do użytku część gmachu o kubaturze 18 tys. m³.



WCZORAJ NA ROLI — DZIŚ NA BUDOWIE. W CIĄGU SZESZCIU MIESIĘCY GRZELAK I ADAMEK STALI SIĘ PRZODUJĄCYMI ROBOTNIKAMI.



WYSOKO, POD STROPEM BŁYSZCZEĆ BĘDĄ ŚWIATŁA JARZENIOWE....

MURARZ Z CHŁOPA TKACZ Z MURARZA

KAMILA CHYLIŃSKA — Zdjęcia: Z. MAŁEK

PÓŁTORA roku temu po tutejszym stawie pływały kaczki, przy drodze gęgały gęsi, na łące pasły się kozy.

I tylko nie opodal stała mała tkalnia sztucznego jedwabiu o kilkunastu krosnach, na której dawniej, przed wojną, utoczyła się niezgorsza fortunka niemieckiego fabrykanta, Augusta Millera.

Rzecz dzieje się blisko Kalisza, w Turku, gdzie od dwustu lat rozwijało się chałupnicze tkactwo. W trzecim dziesięcioleciu naszego wieku w powiatowym mieście Turku i w promieniu 10 km pracowały 3000 chałupników. Tradycje tkackie wrosły w okoliczną ludność i stworzyły grunt pod dumę regionalną. Do dziś twierdzą niektórzy, że „tam, gdzie jest Turek miała być Łódź — a tam, gdzie jest Łódź, miał być Turek“.

DWA ZŁOTE TYGODNIOWO

Przedwojenny właściciel obiektu, jegomość obrotny i zapobiegliwy, wiedział, jak zbija się majątek. Tkalnia w ośrodku chałupnictwa, w okręgu rolniczym, nie uprzemysłowionym, miała zapewniony dopływ taniej siły roboczej. Niewykwalifikowanemu robotnikowi płacił pan Miller dwa złote tygodniowo. Właściwej włóknu jedwabnemu skłonności do wchłaniania wilgoci z powietrza, przeciwdziałać chciał za pomocą płytkich waniek z cienkiej blachy, w które wlewało się wodę. Żeby zaś żadnych dóbr bożych nie marnować, wypróznione

z surowca skrzynie rozbił na deski i zrobił z nich sufit w swojej fabryce.

Warczały krosna, za psie pieniądze ślizgały się po włóknie spracowane ręce, nerwowo biegały za nicią zmęczone oczy robotnic, chrapały od suchego powietrza płuca robotników — i pęczniały kieszenie pana Millera.

W latach 1931 i 1932 na fabryce raz po raz wybuchały strajki. Robotnicy podnieśli bunt przeciw głodowym płacom, przeciw lekceważeniu elementarnych zasad higieny, przeciw stałemu niebezpieczeństwu pożaru, przeciw zmuszaniu do uległości robotnic, przeciw millerowskiej niewoli. Ale policja strajki rozbijała, delegatkę robotników, Marię Papierską, wyrzucono z pracy — i nadal trwało fabrykanckie panowanie.

FABRYKA — KALEKA NIE ZAWALA PLANU

Zmiotła je z powierzchni Turka Armia Radziecka. Jak całą Polskę, tak i Turek oddała na własność ludowi. Zagrała tkacka duma: „Teraz fabryka jest nasza, i mimo, że kaleka, nie wolno dać jej zginać!“ Z miejsca powstało koło partyjne, które przejęło odpowiedzialność za los produkcji. Trzeciego dnia po oswobodzeniu Turka, 17-tu przedwojennych tkaczy (wśród nich Młotkiewicz, Zieleniewicz, Szymański i bracia Uczkowie) stanęło do roboty. Fabryka ruszyła.

Od tego czasu chroma, kuleje — lecz idzie. Postawiono słupy drewniane, co sufit z desek podtrzymują, niby

Dokończenie na str. 10



Anna Lamętowa buduje fabrykę, w której będzie za pół roku pracować.



„Gdyby nie inżynier Andruszkiewicz, nie szłaby nasza budowa...”



„Gdyby nie sekretarz Partii Młotkiewicz, nieby tu jeszcze nie było...”



„Gdyby nie inżynier Jastrzębski, nie dalibyśmy z tym wszystkim rady...”



Szeregi nowych krosien czekają na montaż. Kiedy już rozkręcą się na

dobrze, ucichnie warkot starych krosien w tkalni-kalece o suficie z desek.

Dokończenie ze str. 9

proteza podpierająca kalekę. Dziury w posadzce załatwiono blachą. Ktoś ze straży pożarnej stale strzeże bezpieczeństwa. Zrobiono wszystko, by w miarę istniejących możliwości poprawić warunki pracy robotników. Ludzie zacieli się w ambicji i w robocie, i dotąd fabryka-kaleka nigdy nie zawaliła planu.

SIELANKA KOŃCZY SIĘ

Nikt nie łudził się jednak co do tego, że podobny zakład wcześniej czy później skazany będzie na zagładę. Towarzysz Młotkiewicz, tkacz przedwojenny, dziś sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej na starej tkalni, pomyślał — zgodnie z logiką przeobrażeń w naszym systemie produkcji:

— Tu, gdzie zanika chatupnicze tkactwo, musi powstać nowoczesny zakład włókienniczy.

Tak wraz z innymi myślał i zaczął działać. Jeździł do Warszawy, argumentował, dyskutował, przekonywał — aż wyjeździł zatwierdzenie projektu nowej budowy. Było to w roku 1949.

W marcu następnego roku przybyli inżynierowie. Ciężkie przyszły czasy dla kaczki swobody na bajorze, dla gęśniej symfonii przy drodze, dla kózkiej idylli na łące. Kaczki, gęsi i kozy wyproszone uprzejmie, i oto dzień w dzień znikał po kawałku ów sielankowy pejzaż, ponętnymi barwami przesłaniający dziedzictwo nędzy i beznadziejności dawnej polskiej prowincji.

WALKA POD ZIEMIĄ I NA ZIEMI

Pod ziemią zaczęła się walka z bajorami, moczarami i nośnym gruntem. Drenaż i melioracja trwały do lipca. Założono ławy fundamentowe na 8 m głębokości. Od marca do września, czyli przez okrągłe pół roku, budowniczy nowego obiektu siedzieli pod ziemią. Gdy wyszli na powierzchnię, ukazały się oczom ludzkim pierwsze cegły przyszłych murów. Wydawało się, że ziemia wyrzuciła owe mury z swego wnętrza i wiadomo było, że odtąd coraz szybciej strzelać one będą ku niebu. Wielka radość nastąpiła tego dnia wśród mieszkańców Turka.

Potem walka przeniosła się na ziemię. Jak zdobyć tanim kosztem żwir i piasek? Turek połączony jest z Kaliszem tylko wąskotorową kolejką, więc transporty z Obornik koło Poznania trzeba było przeładowywać na tor wąski, co pochłaniało ogromną ilość pieniędzy. Wszczęto energiczną akcję i pokłady żwiru oraz piasku znaleziono na miejscu.

DOM „ZA DARMO”

Skąd wziąć ludzi? Rozgorzała walka o murarzy, betoniarzy. W Turku i okolicy nie ma proletariatu. Rozpoczęto więc rekrutację wśród małopolskich chłopów, stanowiących trzon tu-tejszej ludności. Marian Parczyński, mistrz w betonowaniu, wykształcił w ciągu roku 50 betoniarzy. Stanisław Grzelak i Zygmunt Adamek stali się przodownikami w sześć miesięcy. Na przodownię pracy wyrosła chłopka Lamętowa, matka trojga dzieci, do niedawna sprzątaczką w biurze, dziś murarka. 95 procent budowniczych przyszłej tkalni — to ludzie ze wsi. Betoniarze i murarze rodzieli się na kamieniach nowej budowy.

Skąd wziąć mieszkania? Robotnicy, którzy wznoszą nową fabrykę, dla siebie ją budują, gdyż skoro ją zbudują pracować w niej chcą jako tkacze. Trzeba przyszłym pracownikom tkalni — będzie ich 1600 — zapewnić dach nad głową. W pomieszczeniach istniejących wilgoć taka, że gdy wieczorem buty pod łóżko postawić, do rana robią się od pleśni zielone. Z czterech projektowanych bloków mieszkaniowych jeden jest już w konstrukcji. A na skromny początek postawiono „za darmo”, z oszczędności na materiale, dom z sześcioma mieszkaniami.

„FABRYKĘ ODŚLONIĆ, JAK POMNIK”

Nogi grzęzły w moczarach, walczyły mózgi i ręce, a mury coraz szybciej

pedziły ku górze. I dziś budynek przyszłej tkalni, stojący nie opodal tkalni starej, każdym sześciennym metrem swej objętości głosi zwycięstwo człowieczeństwa nad pogardą dla człowieka.

— Chciałbym, żeby tę nową fabrykę odślonięto nagle, tak jak odsłania się pomnik. Wtedy ludzie lepiej oceniliby różnicę — mówi kierownik produkcji na starej tkalni.

W starej tkalni woda z blaszanych naczyń mocuje się z suchym powietrzem — w nowej potężny kanał odpowiednio umieszczone wentylatory stoja na straży potrzebnej płuciom wilgoci. W starej tkalni August Miller zawiesił nad człowiekiem sufit z drzewa, nieodstępna groźba pożaru — w nowej tkalni żelbetonowa konstrukcja gwarantuje bezpieczeństwo. Tam marny budulec i drwiące z ludzkiego wzroku oświetlenie — tu 1400 ton cementu, dach mocny jak na Żeraniu, 36 km drutów elektrycznych, światło jarzeniowe. Tam ciasnota, maszyny zachodzące niemal jedna na drugą — tu wielkie magazyny i przestronne, przewiewne hale produkcyjne. Tam brak absolutny wszelkiego wyposażenia socjalnego — tu wygodne szatnie, sale natryskowe, łaźnie, świetlica, palarnia, taras na leżaki.

Różni się nowa tkalnia od starej — jak różni się będzie nowa Polska od Polski starej.

I nowym, niezwykłym językiem mówią ludzie:

— Gdyby nie inżynier Jastrzębski, nie dało by się rady — informuje mnie sekretarz partii na budowie.

— Gdyby nie Młotkiewicz, niczego by tu nie było — powiada inżynier Jastrzębski.

— Gdyby nie kierownik robót Andruszkiewicz, budowa by nie szła — twierdzi z kolei Młotkiewicz.

PISZĄ O NICH WSZYSTKIE GAZETY

Mówili mi to w odrębnych rozmowach, każdy z osobna. Prosimi jednocześnie, by pisaniem im pomóc, by zasygnalizować na przykład, że w Turku jest tylko jeden szpital o 49 łóżkach. Prosimi, by w raporcie nie tego czy tamtego wymienić człowieka, lecz podkreślić wysiłek kolektywu. I nie wiem, czy zdawali sobie sprawę, że pisze o nich codziennie cała polska prasa.

Bo gdy w gazetach czytacie o ujarzmianiu natury przez człowieka — to mowa jest o Waszej półrocznej pracy pod ziemią, towarzysze z Turka. Gdy ten czy ów dziennik nawołuje do obniżki kosztów własnych i do oszczędności w materiale czy transporcie — przykładem, jak o to walczyć, mogłyby stać się Wasze znalezione na miejscu pokłady żwiru i piasku, Wasz „za darmo” wybudowany dom. Gdy mowa w artykule o przysposabianiu kobiet do nieznanym im dawniej zawodów — o Waszą przecież idzie Lamętową. Gdy piszą w prasie o szkoleniu nowych kadr — pomyślcie z dumą o wielkiej szkole na Waszej budowie. Nadzieję wyrobniaka, do niedawna kurczowo trzymającą się domowego kołowrotka, wyrwanie z chałupy i wyprowadzenie na szeroki trakt przemysłowej produkcji. Okrąg rolniczy przemieniacie w przemysłowo-rolniczy. Rozbudzacie śpiące do niedawna umysły, rozniecacie wolę i upór w dążeniu, rozpalacie w ludziach inicjatywę, odpowiedzialność i temperament budowniczych.

Więc gdy gazety piszą, że zmienia się oblicze naszego kraju — wiedźcie, że także i Wy zmieniacie Polskę, towarzysze z Turka!

30 września nowa tkalnia zostanie oddana pod montaż maszyn. Na 1 stycznia tkalnia ruszy.

A po pewnym czasie, gdy już na dobre rozkręci się produkcja, ucichnie warkot krosien w starej tkalni-kalece. Runą deski sufitu, grzebiąc pod sobą ostatnie ślady millerowskiej niewoli.

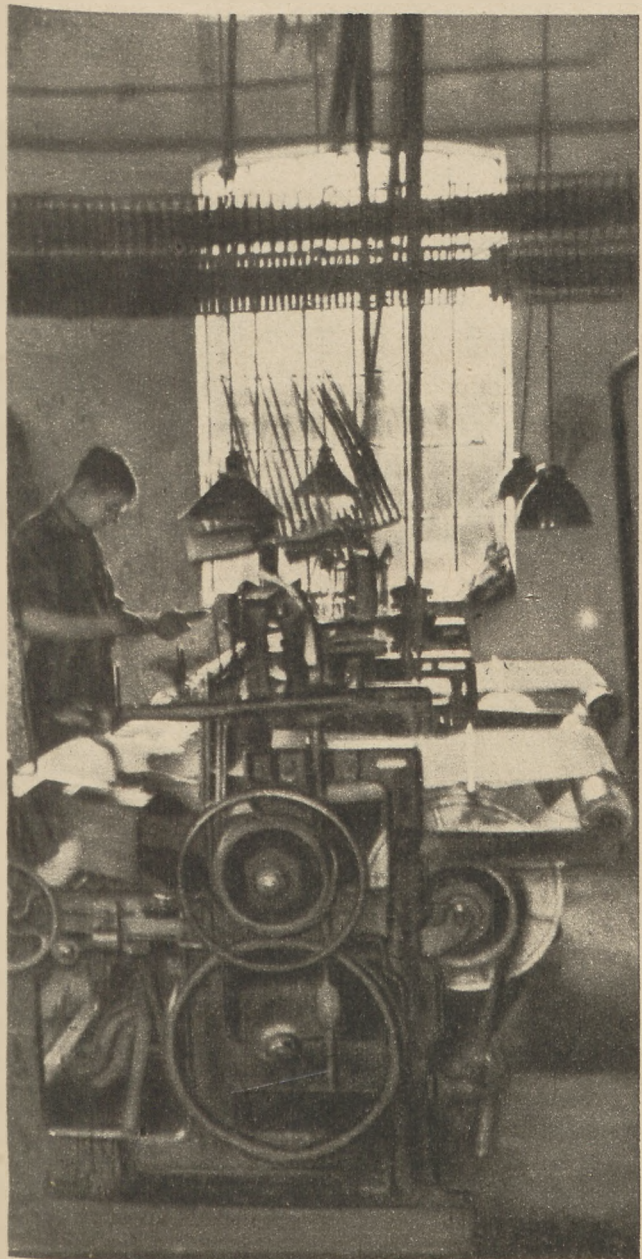
Tak zbliża się oto czas dumy i tryumfu dla nowej tkalni sztucznego jedwabiu.

Tak w mieście powiatowym Turku, niedaleko Kalisza, rodzi się socjalizm.

KAMILA CHYLIŃSKA



NA STAREJ TKALNI MARNY BUDULEC — NOWA, O ŻELBETONOWEJ KONSTRUKCJI, WCHŁONIE PONAD TYSIĄC CZTERYSTA TON CEMENTU.



MROCZNO I DUSZNO JEST W STAREJ, POMILLEROWSKIEJ TKALNI. W NOWEJ NATOMIAST BĘDZIE CZYSTO, JASNO, PRZESTRONNIE, WYGODNIE.



OSKARŻONY, KTÓRY BYŁ OSKARŻYCIELEM

PROCES FRANCUSKIEGO OBROŃCY POKOJU KAPRAŁA MARYNARKI HENRI MARTINA

(Opracowane na podstawie materiałów przesłanych nam przez tygodnik „Regards”. Zdjęcia Jacques Aubert)

STAN faktyczny — W lipcu br. przed trybunałem wojskowym w Brest toczył się w drugiej instancji proces przeciwko Henri Martin, kapralowi marynarki francuskiej, oskarżonemu o rozpowszechnianie ulotek nawołujących do położenia kresu „brudnej wojnie” w Vietnamie. W pierwszej instancji trybunał wojskowy w Tulonie skazał Martina na karę 5 lat więzienia. Trybunał w Breście wyrok ten zatwierdził.

Nazwisko Martina, obok nazwiska bohaterskiej Francuzki Raymonde Dien, która położyła się na szynach i w ten sposób zatrzymała pociąg wiozący amunicję dla wojsk najeżdżących w Vietnamie, stało się sztandarem francuskiego ruchu obrońców pokoju. W całej Francji odbywały się i odbywają zebrania, protestujące przeciwko wyrokowi skazującemu Martina. Hasło: „Uwolnić Henri Martina!” widnieje na transparentach wielkich demonstracji, rozlega się przez głośniki w dniu święta narodowego Francji, ukazuje się na murach domów, na brukach ulic. Walka o wolność Martina jest walką o pokój i wolność Francji.

MARTIN ZEZNAJE

„Miałem 16 lat, gdy hitlerowcy okupowali moją Ojczyznę. Chciałem wziąć udział w walkach z najeżdźcą... Z początku rozdawałem ulotki. Przysięgłem swemu dowódcy, że zawsze będę walczył o wolność, nigdy przeciwko wolności”.

„Zgłosiłem się jako ochotnik do Indochin, aby walczyć z Japończykami, a nie z ludem, który ma prawo do wolności... Ale zjawiliśmy się w Vietnamie nie w celu wyzwolenia narodu, lecz, przeciwnie, aby go zakuć w kajdany... Znalazłem się w jednym szeregu z tymi, którzy służyli najeżdżcom japońskim, a zabijałem tych, którzy walczyli z okupantami”.

„Uważałem, że nie wolno mi biernie się temu przyglądać. Postanowiłem głosić prawdę, wskazywać, że jedyną drogą do rozwiązania problemu wietnamskiego jest pokój. Dlatego to kolportowałem ulotki”.

PROKURATOR W OPAŁACH

Prokurator odczytuje ulotki, rozdawane przez Martina. Publiczność wita je gromkimi oklaskami.

Przewodniczący trybunału zarządza przerwę. Po przerwie prokurator zadaje pytania oskarżonemu.

Prokurator: Jak oskarżony rozumie obronę swego kraju?

Martin: Kraju broni się na własnej ziemi, nie w odległości 20 tys. km od ojczyzny. W Vietnamie bronicie jedynie zysków kapitalistów i baz amerykańskich. Ta brudna wojna nie przynosi Francji żadnych korzyści. Kosztuje nas tysiące zabitych i miliardy franków. Gdybym pozostał bierny, nie byłbym godny miana Francuza.

Prokurator: Jak oskarżony wyobraża sobie niezawisły Vietnam związany z Francją?

Martin: Uczono mnie w szkole, że Francja nie podbija narodów, ale je wyzwala...

ŚWIADEK OSKARŻENIA

Jest i świadek oskarżenia. Jeden, jedyny. Nazywa się Liebert. Klepie wyuczoną lekcję. Ale teraz zadaje mu pytania obrońca Martina, adwokat Vienney.

Obrońca: Czy świadek służył ochotniczo w marynarce niemieckiej, dokładnie mówiąc, na łodziach podwodnych?

Świadek: Może ja wyjaśnię...

Obrońca: Proszę odpowiedzieć — tak czy nie?

Świadek: Tak, wstąpiłem w r. 1943...

Obrońca: Nie jest to najszcześliwiej wybrany osobnik, aby dawać nam tu lekcję patriotyzmu...

„A WIĘC CHCĄ WOJNY”

Po przemówieniu prokuratora zabrali głos obrońcy. „Oskarżać Martina — to oskarżać miliony Francuzów”... „Nacisk narodów i takich ludzi jak Martin zmusił amerykańskich najeżdźców na Koreę do wszczęcia rokowań o rozejm”.

Sąd udał się na naradę. Po godzinie wraca i ogłasza wyrok skazujący Martina na 5 lat więzienia. Martin wnosi okrzyk: „A więc chcecie wojny. Ale decyzja należy do narodów, które pragną pokoju”.



Narzeczoną Henri Martina, śliczną Simone przyjechała do Brestu. Ciężko chora matka bohatera nie mogła zobaczyć



Na ulicach Brestu robotnicy rozklejają afisze z fotografiami trioty francuskiego, bojownika o pokój i wolność



Przed gmachem Związków Zawodowych zbierały się codziennie tłumy, aby dowiedzieć się o przebiegu sprawy, wziąć udział



Przed bramą Szkoły Marynarki Wojennej, gdzie toczył się proces, nial przez szereg dni wielki napis: „Żądamy uwolnienia



rozprawę do swego syna.



Podczas przerwy w rozprawie sądowej wręczono Martinowi pamiątkową księgę o Vietnamie. Wzruszony — ogląda Martin zdjęcia z pola walk.



W przejściu każdy chce uścisnąć rękę bohaterowi walki o pokój, wyrazić mu wdzięczność za niezłomną postawę, zapewnić, że miliony myślą jak on.



wielkiego pa-
ść narodów.



Tych siedmiu ludzi wydało haniebnny wyrok, skazujący wielkiego patriotę Francji. Jest wśród nich i petainowiec Richard, (trzeci od lewej).



„Kto oskarża Henri Martina, oskarża miliony Francuzów, którzy jak on, walczą o pokój” — woła obrońca oskarżonego, adwokat Scarbonchi.



tlumy Fran-
do kolportażu.



Na zeznaniach tej oto kreatury, prowokatora Lieberta — ochotnika hitlerowskiej marynarki wojennej, oparł prokurator swe oskarżenie.



Ci dwaj śpiący panowie — to sprawozdawcy reakcyjnej prasy francuskiej. Nie śledzą oni przewodu sądowego. Wiedzą z góry co mają pisać.



proces, wid-
enri Martina.



Na wieść o wyroku skazującym Martina, publiczność na sali sądowej odśpiewała „Marsyliankę”. Przezorni sędziowie szybko ulotnili się..



W tym samym czasie, gdy trybunał wydawał wyrok na Martina, został zwolniony z więzienia francuskiego generał hitlerowski, Ramcke.

UCZTA BALTAZARA

P O W I E Ś Ć

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

— Niech pani popatrzy, na przykład, co taki balet będzie miał u nas miejsca. — Wienczewski rozwijał rulony.

Joanna wzięła do rąk rzut piętra, przeznaczonego na szkołę baletową, na studia i sale ćwiczeń.

— A oto scena. Widzi pani te bajeczne urządzenia. Wszystko jest. Takiej sceny dla baletu u nas dotąd...

Joanna przerwała mu:

— A skąd pan weźmie balet? Całych lat pracy trzeba...

Z kolei Wienczewski nie wytrzymał i przerwał:

— Właśnie w tej sprawie do pani przyszedłem.

Wyprostował się.

— Jeżeli całych lat pracy potrzeba, to znaczy, że trzeba już zaczynać. Już brać się do pracy nad baletem, który nowo odbudowana opera pokaże Warszawie w dniu swego otwarcia i który na stałe chce mieć.

Śmiech Joanny przestał być ironiczny, stał się sceptyczny.

— Pan sobie za łatwo wszystko wyobraża — rzekła.

Kapitan zniecierpliwił się:

— Konkretnie. Konkretnie!

Dosiadła swego konika:

— Wszędzie pan się może natknąć na doskonałych tancerzy Polaków. U Joosa, u Basila, u Rubinsteina. Niżyński, Niżyńska, Krzesińska, Sulińska, Olkin, przecież to Polacy. A o polskim balecie, jako takim — głucho.

Wienczewski wpatrywał się w nią. Twarz miała zniszczoną, ciężką, oczy wspaniałe. Raz po raz rzucała głową w bok, zaczesując palcami włosy. Mówiła gwałtownie, śmiała się, umiała zakłąć.

— A może pan sobie wyobraża, na przykład, że u Cavalcantiego nie było Polaków? — wskazała Wienczewskiemu wielkie, kolorowe, filmowe zdjęcie, które z sobą stale wozila i przyozdabiała nim ściany, gdziekolwiek się zatrzymywała na dłużej. Otaczała na nim Joannę grupa dziewcząt w złotych i pomarańczowych trykotach. Dziewczęta wyobrażały płomienie, Uriaszewiczówna, z wzniesionymi do nieba oczami, w błękitnym, naszywanym srebrnymi liliami kaftanie, świętą Joannę na stosie, w najpiękniejszej scenie baletu, który rozślawił jej imię.

— Byli! Pod pseudonimami włoskimi czy też francuskimi, tak, jak przypuścimy ja. Tego pan nawet nie podejrzewał?

Rzeczywiście. Tego Wienczewski nie podejrzewał, ani też czegoś wręcz przeciwnego. O balecie Rudolfa Cavalcanti dowiedział się wczoraj, tak, jak o Uriaszewiczównie: z pism.

Dziś przyszedł po tę gwiazdę. Niektóre z wymienionych przez Joannę nazwisk polskich tancerzy w obcych baletach, obili mu się o uszy, z przyjemnością usłyszał, że było ich jeszcze więcej. Miał od roku głowę nabitą wyłącznie zagadnieniami samej budowy. Od kilku miesięcy w związku z przyszłą operą, wziął jeszcze na siebie sprawę baletu, rozproszoną przez okupację, źle postawionego przed wojną, który teraz pilnie potrzebował opiekuńczej ręki. Ostatnimi czasy Wienczewski wciąż o nim myślał.

— Kto chciał się wylansować, emigrował — mówiła dalej Joanna. — U nas nie było warunków.

— Żle było, —

kiwnął głową kapitan. Znał temat, wiedział o nim niejedno, rozumiał się też na głębszych przyczynach i w ogóle na podłożu takich spraw. Nic jednak teoretycznego nie powiedział, lecz zwrócił się wprost z wezwaniem do Joanny: — Od pani obecnie dużo zależy.

— Ode innie? — mile zdziwiła się Joanna.

Zanim wyjaśnił co miał na myśli, szczerze westchnął:

— Na razie byłbym szczęśliwy — oświadczył — gdyby mi się udało ściągnąć najlepsze siły jakie są w kraju.

I trochę się pożalił Uriaszewiczównie na jej kolegów. Mogły ich mieć różne imprezy bez przyszłości, mógł ich mieć cyrk, mogły ich mieć parkiety nocnych dancinów, tylko on, Wienczewski, nie mógł ich pozyskać. Szli na większe zarobki i na prędkie sukcesy. Warszawa bez mieszkań, z perspektywami, które gwiazdom z baletu wydawały się na wodzie pisane i za piękne, żeby były prawdziwe, a w każdym razie dalekie, nie przyciągała ich.

— Gdyby pani rzuciła na szalę swoje nazwisko — zawołał — sądzę, że wszyscy by za panią poszli!

Przedstawił jej szczegółowiej sytuację:

— Ministerstwo nie może płacić młodym chłopcom czy dziewczynom z *corps de ballet* więcej, niż płaci generałom. Nikt z pani młodych kolegów nie chce tego zrozumieć, nie mówiąc już o starszych, z zupełnie zwariowanymi finansowymi ambicjami. Nie decydują się. Niby coś rozumieją, jak im wytłumaczyć, ale następnego dnia po rozmowie przychodzą zakomunikować, że się wycofują. Albo też się wycofują, w ogóle nie przychodząc. Wolą pierwszą lepszą efemeryczną agencję baletową z Katowic, która plasuje tancerzy po kabaretach i organizuje wyjazdy w teren. Owszem, zarabiają wtedy po sto tysięcy i więcej, kiedy mają *engagement*. Tego jednak nie liczą, że bywają miesiącami bez pracy.

Joanna przytakiwała raz po raz: znała te rzeczy. Kapitan mówił dalej: przechodząc z kolei do tego, jak sobie wyobraża organizację takiego baletu, jego zadania na najbliższą przyszłość i jego pracę na daleką metę, powiedział o szkole. Wtedy Joannie raptem się przypomniało, że od kolegów słyszała o wyższym wojskowym, który od niedawna zaczął się mieszać do sprawy baletu. Oczywiście to on, Wienczewski. Jakaś przekora odezwała się w niej na nowo:

— I w tej szkole — rzuciła z lekką ironią — będzie pan dawał baletnikom lekcje dialektyzmu.

Spojrzał na nią zmarszczywszy brwi. Nie lubił podobnego tonu, z którym się często spotykał u artystów, tonu wiecznych żartów i odnawiającej się raz po raz nieufności. Był pewien, że Uriaszewiczówna nie będzie do niego powracać, po tym co sobie powiedzieli.

— Tak przynajmniej słyszałam! — śmiała się dalej.

Wienczewski oświadczył sucho:

— I dobrze pani słyszała. Oczywiście, nie wchodząc w szczegóły i w samo sformułowanie, ale w intencję pani pytania. Program szkoły przewiduje wykłady mające na celu wyrobienie światopoglądu...

— U artystów — Joanna szeroko otworzyła oczy. — A po kiego licha?

— A choćby po takiego — odparł trochę zaciskając zęby; zniecierpliwiła go — żeby później w życiu umieli wybrać między kabaretem a swoją sztuką.

Zamilkła. Poczuli, że ją przykrócił. Odczekał, po kilku sekundach powrócił najspokojniej do poprzedniego tematu. Skończył na informacji, że rozporządza na razie dwiema salami do pracy, na ćwiczenia, ewentualnie próby. Rzecz prosta jeszcze nie w żadnym budynku przyszłego kompleksu opery, ale w pewnym gmachu wojskowym.

— Czy nie zechciałaby pani zobaczyć?

— A czemużby nie.

Pomógł jej się ubrać, grzeczny i chłodny. Kiedy zbierała torbę, parasol i rękawiczki, przyglądał jej się z uwagą. Nie rozumiał tych artystów. Wszystkiego się raczej mógł po nich spodziewać, niż tego, że tak trudno z nich będzie wykrzesać entuzjazm.

Zjechali windą. Na dole Joanna spostrzegła, że jedną rękawiczkę posiadała w drodze.

— Będzie albo na korytarzu albo przed drzwiami — krzyknęła za kapitanem, który udał się na poszukiwania.

Była przed drzwiami. Kiedy Wienczewski pochylił się, żeby ją podnieść, z całym rozmachem wpadła na niego pokojówka, która go nie zauważyła w półmroku. Ledwo go przeprosiła mocno zaaferowana.

— Gdzie jest ta pani spod trzystajedenastki? — denerwowała się. — Zamiejskowy telefon do niej, z Katowic!

— Z Katowic?

— Z Katowic! Z Katowic!

— Pani z którą przed chwilą schodziłem? — sprawdził kapitan.

— Tak jest!



— To proszę zakomunikować tym Katowicom, że ta pani już wyszła. Niech zadzwonią za godzinę!

Nie mógł się oprzeć, by sprawdzić, czy powtórzyła co jej powiedział. Na dole Joanna powitała go wesoło, widząc rękawiczkę:

— Ślicznie się pan spisał! Dziękuję!

— Eardze pani łaskawa! — skłonił się Wieńczewski.

Przed hotelem czekał jego samochód, wsiedli, po drodze Wieńczewski spytał:

— Andrzej Uriaszewicz, czy to pani krewny?

— Mój bratanek. Jednocześnie ze mną wrócił z zagranicy.

— A io świetnie! Przed wojną był na politechnice, nieprawdaż? Niech koniecznie przyjdzie, będę miał dla niego ciekawą robotę. To mój kolega szkolny!

Joanna spojrzała zdumiona.

— To ileż pan ma lat, na Boga!

— Tyle akurat co Andrzej.

— Dwadzieścia dziewięć?

— Dwadzieścia dziewięć lat! — wzruszyła ramionami. I chce mnie pan pouczać, czego trzeba artystom... Mnie, artystkę, która występowała, kiedy pana jeszcze na świecie nie było. Już wtedy!

Teraz on jej się odwzajemnił zdumionym spojrzeniem.

— Nie wierzę!

— Ależ tak — głos Joanny poweselał. Zawołała ze śmiechem. — Prawie mogłabym być pańską matką.

— Jakim sposobem?

— Najprostszym! Uciekłam z domu z pięknym, młodym tancerzem, który przyjechał do Warszawy z trupą Rolfa Cavalcanti ćwierć wieku temu!

— A ile pani wtedy miała lat?

Ruchem, który często powtarzała, odrzuciła piękne złote włosy w tył.

— Szesnaście! A on dwadzieścia jeden!

Zapytał mimowoli:

— Co się z nim stało?

— Nie pracuje. Zdaje się, że teraz jest w sanatorium. Pił zresztą zawsze, morfinizował się. My, artyści, mamy swoje słabości.

Podając te informacje, miała ton lekceważący, zapragnęła jednak zmienić temat:

— O czym to mówiliśmy przedtem?

— O tym czego trzeba artystom. Ja mówiłem, że przede wszystkim wyrobionego światopoglądowego pionu, a pani...

— Dajmy temu spokój!

Przestała ją nagle korcić to, co ją korciło od chwili na górze, kiedy zamknął jej usta swoją prawdą. Tym razem uczynić to musiały jakieś przykre wspomnienia.

— Kiedyż nareszcie zajedziemy na miejsce? — rzuciła.

— A ot!

Samochód zatoczył nagle koło. Wieńczewski podał Joannie rękę. Weszli po desce do budynku w surowym stanie. Skończył się jeden korytarz i drugi, i dalej, i dalej.

— Gdzież te sale? — Joanna szarpnęła za rękaw kapitana kroczącego naprzód.

Wreszcie dobrnęli do nich, pachniały wapnem, świeżością. Joanna przemierzyła je krokami. Machinalnie spróbowała drążków: siedziały pewnie, nie kręciły się. Rozejrzała się jak tu jest ze światłem. Dobrze było. Sale ją w zasadzie zadowolily, tak, że nawet kapitan poczuł się w obowiązku umniejszyć ich cenę.

— Nie są to oczywiście żadne pałace — przyznawał otwarcie — żadne lustrzane sale...

— Aha, właśnie! Temu, który ćwiczy czy próbuje, trzeba dać możliwość skontrolowania własnych ruchów w lustrze. Muszą być lustra!

Podeszła do ściany, przy której nie było drążków.

— Ta ściana musi być z lustrem. W możliwie dużych taflach.

Wdała się w szczegóły dotyczące wysokości.

— Tancerka, którą tancerz podnosi, też się musi cała widzieć w lustrze! Słyszysz pan?

Kapitan wyciągnął notes i ołówek.

— Słucham — rzekł — lustra będą takie, jakie sobie pani życzy.

Zapisał wszystko, porównał z danymi, które zaczerpnął z pism fachowych; zgadzały się. Nie poinformował jednak Uriaszewiczówny, że lustra już zamówił i to takie właśnie o jakie się dopominała. Chciał, by się od razu poczuła panią na tych salach i ich współtwórczynią.

— A gdzie szatnie?

Były na prawo od korytarza.

— A oto prysznice!

— O, patrzcie! Patrzcie! Kiepsko jak ich nie ma, a tu aż pięć! Sześć!

Przeliczyła, sprawdziła, po czym powróciła na pierwszą salę.

— Brr! Wilgotno tu jeszcze. Mnie odrazu skręca — w pewnej chwili wzdygnęła się Joanna. — W Paryżu, za okupacji, przechorowałam się paskudnie na zapalenie stawów. To z tego!

Mówiąc to przeszła do następnej sali i poczynając od niej znowu obejrzała sobie wszystko po kolei. Wieńczewski, pozostawiony sobie, uśmiechnął się. — Trzęsie się z zimna, a nie wychodzi — pomyślał — Mam ją!

Znalazłszy się na dworze, Joanna wzniosła oczy ku górze, rozcierając ręce; zdecydowała się już. Zastanawiała się nad inną sprawą.

— Musiałabym się tylko porozumieć z Ministerstwem Kultury i Sztuki. Ono mi załatwiło bilet z Paryża, dało mi w Hotelu Sejmowym pokój. Przypuszczam, że ma jakieś plany.

— To wykluczone!

Zabrzmiało to jakoś nieufnie, lecz znaczyło tylko tyle, że kapitan się nie zgadza. Uważał już Uriaszewiczównę za zwербowaną.

— Załatwione! — odparła na to Joanna i wyciągnęła rękę.

— Załatwione! — powtórzył za nią kapitan i pod wpływem zadowolenia wyciągnął obie. Miały co objąć, gdyż ręka Joanny była duża.

Dalszy ciąg nastąpi



AGITATORZY KU KLUX KLANU PODBURZYLI MOTŁOCH DO ATAKU.

HISTORIA AMERYKAŃSKA

SIERŻANT CLARK
WPROWADZA SIĘ DO CICERO, ILL.

Zdjęcia: CHICAGO SUN-TIMES,
CHICAGO DAILY NEWS

DWA miesiące temu Harvey Clark, kierowca ciężarówki, był sierżantem lotnictwa amerykańskiego, uczestnikiem drugiej wojny światowej, wynajął sobie mieszkanie w niewielkim mieście Cicero, pod Chicago. Gdy przybył na miejsce, został dotkliwie pobity przez miejscowych policjantów, którzy nie wpuszczili go do domu. Powód? Clark był Murzynem, mieszkanie znajdowało się w dzielnicy „białych”. Clark udał się do sądu i uzyskał orzeczenie, wprowadzające go w posiadanie legalnie wynajętego lokalu.

I tu zaczyna się historia amerykańska. Zaledwie Clark ze swą rodziną wprowadził się do nowego mieszkania, przed domem zebrał się tłum, podburzony przez agitatorów z Ku Klux Klanu. Poszły w ruch kamienie i cegły. Wyleciały wszystkie szyby. Motłoch wdarł się do mieszkania i wyrzucił na ulicę wszystkie meble. Spłonęły na stosie. Dwukrotnie podpalono cały budynek. Straż ogniowa z trudem ugasiła pożar. Miejscowa policja, która już miała porachunki z Clarkiem, przyglądała się temu bezczynnie. Jej agenci kręcili się w tłumie, podburzając do ekscesów.

W obronie napadniętego Murzyna stanęli biali mieszkańcy miasta. Wielu z nich zostało silnie poturbowanych. Wtedy dopiero władze stanowe wezwały wojsko.

Clark i jego rodzina cudem uszli z rąk oprawców i schronili się poza granicę stanu. Motłoch szalał w Cicero przez kilka dni. Ogólna liczba ofiar sięga kilkunastu pobitych i poranionych.

Clark zażądał od władz miejscowych, by zapewniły mu ochronę i umożliwiły wprowadzenie się napowrót do mieszkania, które jest jego własnością. Ale spotkał się z odmową. Po paru dniach władze stanowe odwołały z Cicero wojsko. Oznaczało to, że solidaryzują się z anty-murzyńskimi wystąpieniami tłumów. Przywódcy miejscowej reakcji zapowiedzieli, że Murzyn nigdy nie przestąpi granic miasta. I tak się stało.

W dniu, kiedy motłoch demolował mieszkanie Clarka w Cicero, gubernator stanu Nowy Jork, Dewey, bawił na drugim krańcu świata, w Singapurze. Tam, na publicznym zgromadzeniu tłumaczył, że Stany Zjednoczone są szermierzem wolności narodów. Powitały go okrzyki „Cicero! Cicero!” I na te słowa Dewey nie znalazł odpowiedzi...

Dopiero, gdy motłoch pobit kilku „białych”, władze wezwały wojsko.



Zaledwie Clark z rodziną przybył do Cicero, tłum rzucił się na jego dom.



Meble, wyrzucone na ulicę, spłonęły na stosie. Dwukrotnie podpalono dom.



Mieszkanie zdemolowano doszczętnie. Agenci policji podlegali do ekscesów.

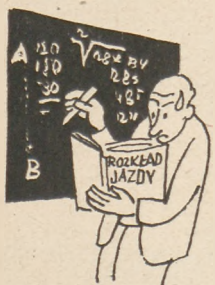


Drodzy Czytelnicy!

PRZED wszystkim zwracamy się dziś do uczestników konkursu fotograficznego, którzy tak licznie wzięli w nim udział, nadsyłając zdjęcia nieraz bardzo interesujące. Otóż wyjazd red. Stawnego na Złot do Berlina uniemożliwił nam dotychczas omówienie nadesłanych prac. A nie chcemy — jak ów bohater humoreski Marka Twaina, co to redagował gazetkę rolniczą i radził czytelnikom strząsać ziemniaki z krzaków — zastępować kol. Stawnego w ocenie zdjęć. Red. Stawny już wrócił i w następnym numerze zamieścimy dłuższe omówienie konkursu.

A teraz, co nam przynosi pocztą?

Ob. Jerzy Sarnowski z Piotrkowa Tryb. zarzuca red. Osmańczykowi nieścisłość w podawaniu rozkładu jazdy, który od 20 maja nie przewiduje bezpośredniej komunikacji między stacjami Odra-Port — Przemyśl. W dodatku odległość między tymi dwiema stacjami wynosiła 976 km, a nie 991, jak podawał Osmańczyk. Najdłuższą linią kolejową — zdaniem ob. Sarnowskiego — jest Hel — Zakopane, długości 953 km. Redakcja „Świata” ogłaszając sprostowanie ob. Sarnowskiego, postanowiła całą sprawę przekazać kol. Osmańczykowi. Niech się tłumaczy Czytelnikom. My nie zamierzamy świecić za niego oczami.



Z prawdziwym zadowoleniem przeczytaliśmy uwagi krytyczne, zamieszczone w liście ob. Zdzisława Jurczyka z Kłodzka. Nie ze wszystkim się jednak zgadzamy. Ob. Jurczyk uważa, że całostronicowe zdjęcie jest do pewnego stopnia marnotrawstwem, że znacznie lepiej jest dawać mniejsze zdjęcia, ale za to więcej. Ob. Jurczyk wskazuje nam, jakie fotoreportaże chcieliby Czytelnicy znaleźć w „Świecie”. Nowe osiągnięcia gospodarcze i kulturalne naszego kraju, fragmenty Warszawy, Nowej Huty, Tych, Żerania, nowe szkoły, teatry, wysiłki budującej się nowej, wspaniałej Polski. I dalej. „Zdjęcia przedstawiające życie i kraj Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej — do dzisiejszego dnia tak mało wiemy jeszcze o życiu w ludowej Bułgarii czy Albanii... Wreszcie czytelnik polski zainteresowany jest życiem i walką narodów w krajach kapitalistycznych oraz przebiegiem światowej walki o pokój”.

Wszystkie te uwagi są słuszne i, jak ob. Jurczyk pewnie nam przyzna, staramy się tak właśnie prowadzić nasze pismo. Zdradzimy nawet tajemnicę redakcyjną, że dwaj nasi współpracownicy udają się na reportaże do krajów demokracji ludowej. Kilku naszych współpracowników jest w stałych rozjazdach po Polsce. Czy to jednak znaczy, że mamy się wyrzec dużych zdjęć? Wydaje nam się, że to byłoby niesłuszne. Często jedno duże zdjęcie, wyraźne, artystycznie wykonane daje lepsze pojęcie o przedstawionym temacie niż szereg zdjęć wielkości... znaczka pocztowego. Prawda? Jeśli chodzi o reprodukcje obrazów światowego malarstwa, to wzorem tygodnika „Ogoniok” zamierzamy takie reprodukcje zamieszczać, ze szczególnym uwzględnieniem malarstwa polskiego.

Ob. Z. Ramówna z Krakowa zapytuje, czy mogłaby zostać naszą korespondentką i jeżeli tak, to o czym by mogła pisać? Ależ oczywiście. O tematy nie trudno. Z odpowiedzi zamieszczonej powyżej wylaniają się setki tematów. Na szczęście nie brak ich w Polsce Ludowej. Każdy dzień przynosi nowe, radosne. Czy nasza miła Czytelniczka ma jakieś możliwości ilustrowania swych korespondencji fotografiami, bo przecież jesteśmy pismem ilustrowanym? Prosimy do nas napisać.



Dziękujemy ob. Stefanowi Dąbrowskiemu za miłe słowa. Zapewniamy Go, że prowadzimy „świętą wojnę” z korektą i kładziemy szczególny

nacisk na to, by uniknąć błędów. Ale ten „helikopter” porządnie dął nam się we znaki.

Ob. „Janba” (nazwisko znane redakcji) pragnie, by tygodniki polskie były starannie drukowane, „żebyśmy i my w Polsce mogli zaimponować naszymi tygodnikami”. Niestety, wciąż jeszcze napotykałyśmy na ogromne trudności techniczne. Trzeba pamiętać o zniszczeniach wojennych, no i o dziedzictwie z okresu przedwrześniowego, które nie było najlepsze. Z czasem, niewątpliwie, szata zewnętrzna pism ilustrowanych ulegnie poprawie.

Na zakończenie musimy niestety zapowiedzieć, że niezamówionych rękopisów redakcja nie zwraca. Jest to taki ogólnie przyjęty zwyczaj, który pozwala redakcji normalnie pracować, nie zamieniając się w urząd pocztowy.

Do przeczytania w następnym numerze

REDAKCJA

ŚWIAT

ŚWIAT o tym wie!

ZWYKŁA SPRAWA



RZECZ działa się w stanie Mississippi, w lipcu r.b. Szeryf Marshall otrzymał meldunek o zaginięciu 17-letniego chłopca, Roberta Mc Kineya. Wdrożył dochodzenie i powierzył prowadzenie sprawy detektywowi nazwiskiem Charles Underwood.

Odtąd sprawa potoczyła się normalnym trybem. Już nazajutrz rano Underwood trzymał w areszcie 30 podejrzanych Murzynów. Pod wieczór zwolnił 26, czterech pozostałych natomiast poddał gruntownemu badaniu.

Sukces był całkowity. Trzech więźniów, Jesse James, Amos Redmond i Jesse Davies, przyznało się do winy. Opowiedzieli szczegółowo, jak wciągnęli ofiarę w zasadzkę, jak zrabowali mu 40 dolarów, potem rozbili głowę tępym narzędziem a zwłoki wrzucili do rzeki.

I trzech młodoci Murzyni powędrowaliby prawdopodobnie utartym szlakiem na elektryczne krzesło, gdyby...

...Gdyby pewnego dnia nie wkroczyła do urzędu policyjnego rzekoma ofiara mordu, sam Mc Kiney we własnej osobie. Przeczytał w gazetach, że go zamordowano, przeczytał zeznania morderców i czym prędzej wrócił do rodzinnego miasta, by zapobiec zbrodni sądowej.

Czterej młodzi Murzyni wprost z więzienia zostali przewiezieni do szpitala. Lekarz stwierdził, że wszyscy odnieśli ciężkie obrażenia od pobicia.

Niedyskretni dziennikarze zainteresowali się osobą wysoce utalentowanego detektywa Underwooda. Rezultat? Stwierdzili, że w r. 1947 skazany został w Chicago na 3 lata więzienia za udział w napadzie rabunkowym. Przeniósł się więc do Mississippi, po dziś dzień cieszy się wolnością i szeryf Marshall nadal uważa go za dzielnego policjanta.

DOBRE, CZY ZŁE, ALE ZAWSZE CHYBIONE



Mr. Benton

GŁOS AMERYKI” był niedawno przedmiotem rozległej dyskusji w Kongresie USA. „Kosztuje miliony — a wyników nie widać” — mówili rozgoryczeni posłowie i senatorowie. Najostrzej krytykował propagandę amerykańską senator William Benton. Pan Benton uważa się za eksperta od tych spraw, bo dorobił się grubych milionów na reklamie.

„Weźmy sprawę Korei — powiedział pan Benton. — To była najlepsza okazja, żeby zareklamować amerykańską demokrację. I co się stało? Kompletna klapa”.

Pan Benton wyraźnie przeholował. Gdyby wszyscy razem królowie reklamy amerykańskiej objęli wspólnie dyрекcję „Głosu Ameryki”, też nie podołaliby takiemu zadaniu.

TANIO, PRAWDA?

ILE jest warte (w dolarach) życie ludzkie?

Sąd Najwyższy stanu New Hampshire (USA) znalazł wreszcie formułę, dającą niezawodną odpowiedź na to pytanie. Gdy siedmioletnia Jacque-

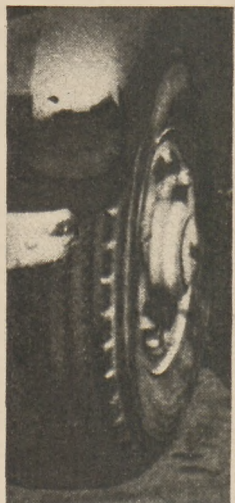
line Hubbard zginęła w wypadku samochodowym, rodzice jej zaskarżyli sprawcę wypadku, domagając się odszkodowania za śmierć dziecka. Sąd przyznał im kwotę 7.000 dolarów.



Obie strony zaapelowały. Rodzice dziecka twierdzili, że w stanie West Virginia można dostać 10.000 dolarów za taki wypadek, a w stanie Connecticut nawet 20.000 dolarów. Sprawca wypadku twierdził natomiast, że życie siedmiolet-

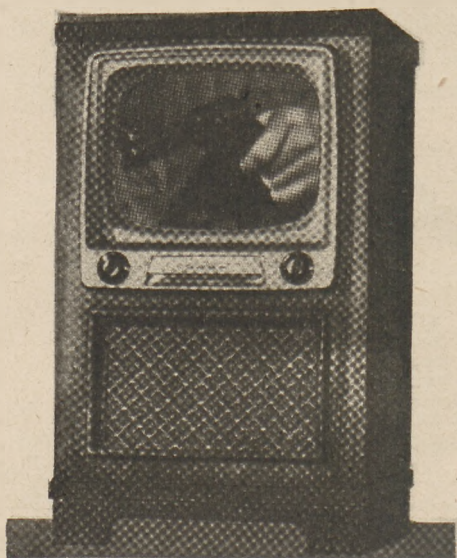
niej dziewczynki nie jest warte aż 7.000 dolarów.

Sąd Najwyższy rozpatrując odwołanie, zatwierdził wyrok pierwszej instancji. Motywy? Sąd trafnie oszacował wartość odszkodowania. Gdyby mała Jacqueline dożyła przeciętnego wieku Amerykanina, szacowanego na lat 50, to obliczając średni dochód roczny osobnika z jej środowiska społecznego — zarobiłaby nie więcej niż 7.000 dolarów. Tyle jest więc warte jej życie. Co innego, gdyby ofiara wypadku pochodziła z rodziny milionerów. Wtedy, oczywiście, życie jej warte byłoby potysiąc razy więcej. Po prostu w proporcji do dochodów.



P. S. Wyrok sądu w New Hampshire nie stosuje się do żołnierzy amerykańskich, którzy zginęli w Korei. Nawet przy niskiej stawce 7.000 dolarów od osoby, płaconych rodzinie poległych tytułem odszkodowania, rząd amerykański dawno by już zbankrutował.

PROGRAM DLA DZIECI



W CIAGU jednego tygodnia na stacjach telewizyjnych jednego tylko miasta amerykańskiego, Los Angeles, nadano programy, które obejmowały:

- 127 morderstw,
- 101 wypadków „zabójstwa usprawiedliwionego”,
- 357 wypadków usiłowania zabójstwa,
- 93 wypadki porwania dzieci,
- 11 wypadków ucieczki z więzienia,
- 3 wypadki torturowania ludzi przy pomocy rozpalonego żelaza.

Siedemdziesiąt dwa procent tych pouczających programów przypadało na audycje rozrywkowe dla dzieci i młodzieży.

KONFIDENT „S”

na służbie H. K. — Stelle

JAK POWSTAŁY „LEGIONY” PIŁSUDSKIEGO?

ZANIM opiszę dalsze perypetie moich pierwszych spotkań ze „Stefanami”, kilka słów jeszcze w sprawie mieszkania. Upłynęło może 10 dni, nagle ni stąd ni zowąd wzywa mnie do siebie szef sztabu korpusu (już nie Gabriel, który zdążył odejść, ale płk. Kochanowski) i każe mi wezwać do Krakowa... mojego ojca. Byłem tym, rozumiem się, zaskoczony, ale nie pytając o nic, ojca do Krakowa wezwałem.

Po rozmowie z szefem sztabu, ojciec mówiąc ze mną o różnych sprawach, wtrącił mimochodem, że mam zupełnie nieodpowiednie mieszkanie, tym bardziej, że mieści się ono na przeciwko „Varietés”, i że chętnie widziałby mnie w innej dzielnicy Krakowa. Wreszcie dodał, że nawet ma dla mnie odpowiednie mieszkanie przy ul. Groble 12, w domu urzędnika prokuratury generalnej Landermera.

MIESZKANIE W DOMU BEZ PODWÓRKA

Domyśliłem się, że gość mój albo zwrócił się bezpośrednio do szefa sztabu w Krakowie, albo interweniował poprzez Iszkowskiego, albo wreszcie bezpośrednio zwrócił się do Roniego w sprawie mego mieszkania. Sprawy tej nigdy zresztą nie próbowałem wyświecić.

W każdym razie na zamianie źle nie wyszedłem i musiałem lojalnie stwier-



Dom przy ul. Groble 12 w Krakowie. Tu, w mieszkaniu na II piętrze szef H.K.-Stelle przyjmował konfidentów — „Stefana nr 1” i „Stefana nr 2”.

dzić, że obecne moje mieszkanie znacznie lepiej nadawało się do tego rodzaju spotkań, jakie uprzednio miałem i jakie mnie czekały, niż stare przy ul. Zielonej.

Przeprowadziłem się w czerwcu. Vis a vis domu, w którym mieszkałem, znajdowało się gimnazjum św. Anny. Na placu był targ koni. Przed południem panował tu ożywiony ruch, po południu zaś ulica była prawie pusta. Na piętrze, oprócz mnie, mieszkał właściciel domu oraz szef sztabu twierdzy Kraków major Stanisław Haller (późniejszy generał W. P. i szef sztabu w czasie wojny 1920 r.). Mieszkanie było na ogół spokojne, a na schodach nie spotykało się prawie

nikogo. Podwórka, które uprzednio bardzo mego gościa zdenerwowało, nie było.

Muszę stwierdzić, że wizyta mego nowego znajomego nie bardzo mnie zachwyciła. Znalazłem się w trudnej sytuacji. Ani jeden z obydwu „Stefanów” nie wzbudzał zaufania. Pierwszy, po zdekonspirowaniu się, oświadczył przecież, że nie jest upoważniony przez kierownictwo do prowadzenia ze mną rozmów, czemu nie bardzo dawałem wiarę, drugi zaś, który prawdopodobnie uprawnienie to miał, po pierwsze oświadczył mi, że musi wszystko „dobrze przepracować” (?), po drugie nie zdekonspirował się. Po trzecie zaś wydawał mi się potężnym blagierem i bluffiarzem. A do nikogo po poradę zwrócić się nie mogłem.

Poza tym, trzeba to zrozumieć, waliło się w gruzy całe moje dotychczasowe rozumowanie, nadwątlone już poważnie przez telefon Iszkowskiego. O sprawie, za którą miałem być przecież sam odpowiedzialny, o której z nikim nie miałem mówić, wiedział, okazało się już przed tym Iszkowski, ponadto zaś według słów „Stefana nr. 2” — wiedzieli o niej szef sztabu we Lwowie, szef sztabu w Wiedniu, a na dobitkę jeszcze jakaś dama — towarzyszka, która prowadziła salon w Wiedniu, gdzie spotykali się przywódcy PPSD z oficerami sztabowymi! Zawaliły się nie tylko moje przypuszczenia dotychczasowe, ale i ambicja moja była poważnie dotknięta.

PROPOZYCJE „STEFANA NR. 2”

Upłynęło znowu kilka tygodni, aż pewnego dnia nowy telefon zapowiedział wizytę „Stefana nr. 2”. Tym razem gość przyszedł z konkretną propozycją. Chodziło mianowicie o zalegalizowanie oficjalne tego, co na wpół legalnie, niewątpliwie z inspiracji tamtejszej H. K. Stelle, istniało w postaci Związku Walki Czynnej we Lwowie, o którym gość mój poprzednim razem opowiadał. Według projektu „Stefana Nr. 2” chodziło o zalegalizowanie w Krakowie jakiejś organizacji strzeleckiej, w której by członkowie „Związku Walki Czynnej” szkolić się mogli w strzelaniu.

Tu małe wyjaśnienie. Istniała w Austrii ustawa zezwalająca na tego rodzaju ćwiczenia w strzelaniu. Instruktorów i broni dostarczała tzw. Landwehra, (formacja, która w czasie pokoju miała bardzo mały stan liczbowy, a której rezerwy od czasu do czasu odbywały ćwiczenia). Otóż zezwolenie na tego rodzaju stowarzyszenie strzeleckie, jakie proponował mi mój gość, mogła wydać władza polityczna, jak dyrektor policji w porozumieniu z tzw. Landwehrkommando, (terytorialna władza Landwehry).

Należy zaznaczyć, że zezwolenie takie mogło być wydane tylko obywatelom austriackim, co jest rzeczą chyba zrozumiałą, udzielenie bowiem zezwolenia na doszkalanie wojskowe obywatelowi obcego mocarstwa mogło spowodować przecież konflikt dyplomatyczny. Np. w danym wypadku, skoro chodziło o obywateli rosyjskich, mogło dojść do nieporozumień między

nami a Rosją, czego rząd austriacki, bynajmniej sobie nie życzył.

Wysłuchałem spokojnie uwag mego gościa, a gdy skończył, powiedziałem porządnie już oburzony:

— Proszę pana, przychodzi pan do mnie z pewnymi propozycjami. Zgoda. Ale skoro w ogóle mamy konferować, muszę przecież wiedzieć, kto pan jest. Proszę się nareszcie zdekonspirować. Skoro przychodzi pan w sprawie nawiązania kontaktu, musi pan podać swoje nazwisko.

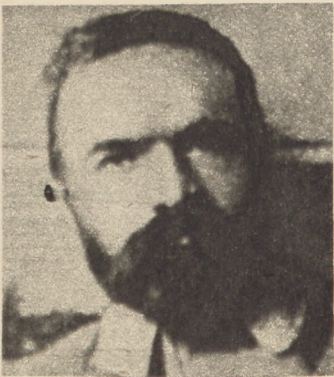
Muszę przyznać, że w tym wszystkim denerwowało mnie także i to, że



Konfident H.K. Stelle — Stefan nr 1 (Walery Sławek).

Iszkowski wie kim jest „Stefan nr. 2”, a ja nie wiem. Natarłem wprost na mego gościa, podobnie jak kilka tygodni temu na Sławka: Mego rozmówcę żądałem moje bardzo zirytowało. Zwyczajem swoim zaczął bębnić palcami po stole, i również zwyczajem swoim (zdążyłem to zauważyć) westchnął głęboko, wypuszczając z sykiem powietrze przez zaciśnięte wargi, jakby próbował gwizdać.

Zaniepokoił się dlatego, że wiedział już prawdopodobnie od Sławka, iż



Konfident H.K. Stelle — Stefan nr 2 (Józef Piłsudski).

imie, nazwisko, adres i pseudonim konfidentów wpisuję na specjalnych arkuszach („Konfidentebogen”). Trudno było przecież mieć wszystko w głowie. Było by to może najlepsze, ale z pewnością przy większej liczbie konfidentów niewykonalne. Te „Konfidentebogen” leżały schowane u mnie w szafie ogniotrwałej.

„STEFAN NR. 2” UJAWNIA SWE NAZWISKO

Moje żądanie nie było poza tym niczym nadzwyczajnym. Jasne, że musiałem wiedzieć z kim mam do czy-

nienia. Toteż na moje argumenty gość nie znalazł innej odpowiedzi, jak tylko przedstawić się. Podał mi więc swoje imię i nazwisko. Zapisalem się błędnie: Józef Piłsucki. Gość mój, widząc co piszę, poprawił mnie:

— Nazwisko moje pisze się inaczej: Piłsudski.

Tego ja znowu nie zrozumiałem, gdyż w Galicji nazwiska polskie, kończące się w ten sposób, pisało się tak, jak ja napisałem. W odpowiedzi na to eks-„Stefan nr. 2”, obecnie Piłsudski, wyjaśnił mi, że nazwisko jego pochodzi od majątku Piłsudy, znajdującego się na Litwie, które stało się jądrem rodowego nazwiska.

W ten sposób gość mój dał mi do zrozumienia, że jest pochodzenia szlacheckiego, no i przestał odgrywać jednocześnie rolę robotnika warszawskiego, zrezygnowawszy ze swego dotychczasowego nadwiślańskiego akcentu. Przy okazji opowiedział mi Piłsudski w skrócie swój życiorys.

Studiował w swoim czasie medycynę. Był aresztowany, uciekł z zesłania, brał udział w rewolucji w 1905 roku, następnie uciekł do Krakowa. Mówił mi również o pracy PPS na emigracji, o sytuacji w kraju, dając mi wtedy pierwsze wiadomości źródłowe, dotyczące sytuacji politycznej w Kongresówce, a szczególnie w stronnictwach działających w klasie robotniczej. Podał mi swój adres: Szlak 25, przy tym dodał, że obecnie zatrudniony jest jako dziennikarz w „Naprzodzie” krakowskim.

Ustaliliśmy, że listy będę do niego wysyłał bądź na adres prywatny, bądź na adres „Naprzodu”. Miałem je podpisywać, tak jak on swoje do mnie, pseudonimem „Stefan”. Ustaliliśmy również, że na ulicy nie będziemy się sobie kłaniali, natomiast w kawiarni będziemy sobie dawali znaki porozumiewawcze oczyma.

Kiedy Piłsudski odszedł, na nowo zacząłem przemyśliwać nad sprawą utworzenia Związku Strzeleckiego. Nie namyślałem się jednak długo, jestem bowiem człowiekiem szybkiej decyzji. Rozumowałem wówczas, że zalegalizowana organizacja strzelecka może te same, jeśli nie większe, oddać korzyści, co „Związek Walki Czynnej”, o którym wprawdzie wiele nie wiedziałem, ale o którego celowości dla nas nie mogłem wątpić. Ostatecznie we Lwowie pracował Iszkowski, który wiedział co robić.

Postanowiłem zalegalizować organizację strzelecką i to nie meldując o tej sprawie do Wiednia. Zrobiłem jedno tylko zastrzeżenie. Pozwoliłem na zorganizowanie związku strzeleckiego dla obywateli rosyjskich tylko w Krakowie. Porozumiałem się więc jedynie z dyrekcją policji w Krakowie, natomiast na starostów nawet nie próbowałem wpłynąć. O tym moim zastrzeżeniu Piłsudskiemu nie wspominałem. Wpłynąłem również na Land-



Wkrótce pojawiły się na ulicach mundury strzeleckie. W Krakowie było dużo śmiechu z tego „wojska” — pisze w swych pamiętnikach gen. Rybak.

Dokończenie ze str. 17

wehrkommando w sprawie broni dla organizacji strzeleckich oraz w sprawie skierowania instruktorów.

„WOJSKO” PANA KONFIDENTA

Po załatwieniu formalności, tzn. po złożeniu przez Piłsudskiego podań do dyrekcji policji i Landwehrkommando i po otrzymaniu zezwoleń, strzelcy zaczęli ćwiczyć. Ćwiczenia strzeleckie odbywały się na Woli Justowskiej, gdzie Piłsudski często przychodził, (pamiętam, że w knajpie naprzeciwko strzelnicy stawiał instruktorom piwo). Wkrótce pojawiły się na ulicach mundury związku strzeleckiego, a na Błoniach ćwiczyły patrole. Później Piłsudski założył nawet szkołę oficerską, którą sam pierwszy ukończył. Trzeba stwierdzić, że w Krakowie było dużo śmiechu z tego „wojska”.

Piłsudski zachodził do mnie od czasu do czasu. Na temat tych spraw, które mnie interesowały, nie mówił mi wiele. Nie mówił mi choćby dlatego, że jeśli idzie o mnie, moje wiadomości polityczne były jeszcze ciągle niewystarczające i musiałem je znacznie uzupełnić, aby stawiać Piłsudskiemu z mej strony jakieś konkretne propozycje.

Na prowincji podobne organizacje założyła dla swych członków PPSD. Nie będę daleki od prawdy, jeżeli powiem, że w ogóle zapanowała moda na organizacje strzeleckie. Obok Związku Strzeleckiego Piłsudskiego zaczęli się ćwiczyć w strzelaniu ludowcy Witosa tworząc „drużyny Bartoszew”. „Sokół”, który dotychczas uprawiał gimnastykę zaczął również strzelać.

W 1912 r. (wybiegam nieco wspomnieniem naprzód) powstała Komisja Tymczasowa Sfederowanych Stronnictw Niepodległościowych z Jaworskim na czele. Do tej Komisji namiestnik na Galicję, Bobrzyński, delegował urzędnika namiestnictwa, oficera rezerwy Władysława Sikorskiego, który w łonie Komisji pełnił funkcję referenta spraw wojskowych, a którego właściwym zadaniem było informowanie namiestnika, czy Komisja nie planuje czegoś, co mogłoby zaszkodzić państwu. Jednocześnie Komisja mianowała Piłsudskiego komendantem wszystkich szkół strzeleckich. Czyli do pewnego stopnia, był w łonie Komisji Sikorski przełożonym Piłsudskiego.

Mogłem uważać się na ogół za zadowolonego, jeśli idzie o mój start w Krakowie! Nawiązałem bowiem pewien kontakt z PPS, wiedziałem również dokładnie poprzez Piłsudskiego, co się dzieje w Komisji Stronnictw. Trzymałem rękę na pulsie tych spraw wszędzie, gdzie tworzył się jakiś związek, miałem bowiem od Piłsudskiego charakterystyki poszczególnych ludzi. Ale przecież narazie nie sprawa Strzelca była tą sprawą najistotniejszą.

Miała się nią stać później, a o wykorzystaniu PPS było na razie cicho.

ARESztOWANIE „STEFANA NR. 1”

Dopiero gdzieś z początkiem zimy 1910 r. zaszedł wypadek, który bardzo poważnie zaciążył na długim okresie mojej pracy w Krakowie.

Pewnego dnia otrzymuję od dyrekcji policji list, w którym zawiadamia mnie ona, że został zaaresztowany osobnik, u którego znaleziono duży magazyn z bibułą i literaturą wojskową w postaci podręczników szkoleniowych. Znaleziono również u niego brauning, patrony od dynamitu i lont.



Rząd rosyjski został poinformowany przez Redla...

Osobnik ten nie chciał podać swego nazwiska. Kiedy byłem w trakcie czytania listu, zawiadamia mnie telefonicznie prokurator Marowski, że policja odstawiła do prokuratora jakiegoś jegomościa, oskarżonego o szpiegostwo, u którego znaleziono cały magazyn bibuły. Jasne, że chodziło tu o jedną i tę samą osobę.

Aby czytelnik zrozumiał moje zdziwienie, trzeba wyjaśnić, że istniała umowa między mną, a dyrekcją policji, polegająca na tym, że żadna sprawa o szpiegostwo nie była posyłana do prokuratora bez zasięgnięcia mojej opinii. Chodziło o to, aby przekazywać sądowi sprawy poważniejsze i całkowicie jasne, nie zaś drobne i niepewne, któreby mogły wywołać wrażenie, że jako kierownik HK — Stelle choruję na „chorobę szpiegowską”. Fakt oddania sprawy do prokuratora i przysłania mi przez dyrekcję policji listu, zawiadamiającego mnie o tym wydarzeniu (nota bene z adnotacją, że kopia została wysłana do sztabu), świadczył, że tym razem umowa nie była przestrzegana.

Marowski proponował mi zwołanie małej konferencji, w której oprócz mnie i niego powinien również wziąć udział sędzia Gniewosz. Na konferencji tej mieliśmy naradzić się szczegółowo nad tą sprawą.

Pojechałem do prokuratora, gdzie przejrzałem materiały znalezione u

aresztowanego. Był to rzeczywiście bardzo bogaty magazyn bibuły.

— Chciałbym — powiadam do Marowskiego — rozmówić z aresztowanym. Sprowadźcie go tutaj.

Po chwili drzwi się otworzyły i pojawił się w nich... Sławek. Byłem tak zdumiony jego ukazaniem się, że bezwiednie podszedłem do niego i przywitałem się, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji tego odruchu. Jako szef ośrodka wywiadowczego podałem rękę zbrodniarzowi! Sławek uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo i odwzajemnił uścisk. Już w następnej chwili zorientowałem się, co zrobiłem. Zdekonspirowałem konfidenta! Zdekonspirowałem swój stosunek do Sławka i do Związku Walki Czynnej, (do którego bibuła niewątpliwie należała)!

Kazałem natychmiast aresztowanego wyprowadzić, a Gniewoszowi i Marowskiemu oświadczyłem, że znam tego człowieka i jestem zorientowany w sprawie odkrytego magazynu. Sławek został natychmiast wypuszczony na wolność, a całą skonfiskowaną bibułę i literaturę kazałem sobie odesłać.

SPRAWA NABIERA ROZGŁOSU

Zanim opiszę, jakie konsekwencje dla mnie, dla mojej pracy miało zapoznanie się z materiałami znalezionymi u Sławka, kilka słów o innych skutkach tego aresztowania, skutkach, które omal nie doprowadziły do... konfliktu międzynarodowego.

Rząd rosyjski poprzez swój wywiad (z pewnością przez Redla *) został poinformowany, że w Krakowie odkryła policja magazyn świadczący, iż na terenie zaprzyjaźnionego mocarstwa tworzy się jakieś grupy wojskowe, których niedwuznacnym celem jest dywersja w Rosji na wypadek wojny. I co gorsza — do tych związków strzeleckich należą emigranci z Kongresówki, obywatele rosyjscy. W rezultacie nastąpiło demarche rządu rosyjskiego w austriackim Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

W Wiedniu powstał gwałt. M.S.Z. zwróciło się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz do Sztabu Generalnego z zapytaniem, ile jest prawdy w nocie rosyjskiej. Sztab Generalny z miejsca stwierdził, że nie jest mu o niczym wiadomo. M. S. Wewnętrznych, odpowiedziało, że musi tę sprawę zbadać drogą służbową tj. przez namiestnika na Galicję.

Namiestnik Bobrzyński też z miejsca na to pytanie nie mógł odpowiedzieć i zwrócił się do Flattaua oraz do dyrektora policji we Lwowie Reinlendera z żądaniem wyjaśnień. Flattau, z którym byłem nieco na bakier, musiał oczywiście wiele wyśpiewać. Wyśpiewał i to, że istnieje „Strzelec” składający się z emigrantów rosyjskich, szczególnie studentów i że ten związek odbywa ćwiczenia wojskowe. Podał oczywiście do wiadomości namiestnika historię z aresztowaniem Sławka i zwolnieniem go przeze mnie. Otrzymałszy te wiadomości, Bobrzyński zwołał do Lwowa konferencję, na której i ja oczywiście byłem. Był na niej także Iszkowski oraz Charwath (komisarz policji).

Bobrzyński zaatakował mnie, że pod moim bokiem dzieją się takie rzeczy, które zagrażają dobrem stosunkom między Austrią a Rosją. Nie pozostało mi nic innego, jak zbagatelizować to oskarżenie. Oświadczyłem, iż na podstawie pojedynczych wypadków, trudno stwierdzić, że istnieją całe organizacje, składające się z emigrantów rosyjskich. Jeżeli do związku należał jeden czy drugi student przybyły z Kongresówki, to nie jest jeszcze

*) Redl został już na stanowisku szefa wywiadu austriackiego zdemaskowany jako szpieg rosyjski.

taka zbrodnia. Poza tym, jeśli idzie o Zw. Walki Czynnej, to ośrodkiem jest przecież Lwów. Mówili jeszcze coś tam inni, między innymi Iszkowski — no i na tym rozeszliśmy się.

NAMIESTNIK PRZESKADZA

Cała sprawa rozeszłaby się po kościach, gdyby znów nie Bobrzyński. Wydał on mianowicie zarządzenie starostom i policji w celu dopilnowania, by do stowarzyszeń strzeleckich nie dostali się emigranci z Kongresówki oraz by żandarmi badali rosyjskich poddanych, czy nie mają czasem broni bez zezwolenia.

Wróciwszy do Krakowa musiałem z miejsca te zarządzenia namiestnika storpedować. Ostatecznie ja lepiej wiedziałem, czy związki strzeleckie w takim składzie są potrzebne, czy też nie.

Storpedować tych zarządzeń poprzez dyrekcję policji nie mogłem. Wezwałem więc Dąbrowieckiego i poleciłem mu poinformować żandarmów, że chodzi tu o niewinne ćwiczenia w strzelaniu, a co najważniejsze — zależy nam na tym, by „obcy” dobrze się u nas czuli i nie byli niespokojni. Poleciłem mu także, by porozumiał się ze starostami. Trzeba przyznać, że wielu starostów posłuchało go.

Cała sprawa była dla mnie poważną nauką. Musiałem być teraz znacznie ostrożniejszy. Groził mi przecież kryminał, tym bardziej, że Wiedeń jeszcze o niczym nie wiedział. Przede wszystkim postanowiłem nie wysyłać narazie na robotę wywiadowczą do Kongresówki żadnego członka PPS, dopóki sprawa nie ucichnie.



Typy konfidentów H.K.-Stelle: Kordian-Zamorski (późniejszy komendant „granatowej” policji) i Rydz-Smigły na Plantach krakowskich w r. 1910.

Trzeba wiedzieć, że dotąd zbyt wiele wiadomości od Sławka i Piłsudskiego nie miałem. Od czasu do czasu Piłsudski mówił mi, że ktoś jedzie, czy też że ktoś wraca z Kongresówki. Czasem dostarczał mi jakichś listów, w których były drobne wskazówki co do ruchu wojsk: że ten czy ów garnizon wyjechał na ćwiczenia, tamten się przeniósł itp. Nie miało to wszystko razem wielkiej wartości.

Teraz dopiero nadarzyła się okazja, by sprawę tę w ogóle gruntownie zbadać, zanalizować, by stosunkom politycznym w Kongresówce lepiej się przyjrzeć. Tą nadarzącą się okazją był znaleziony u Sławka magazyn.

Dalszy ciąg nastąpi



FILM BIOGRAFICZNY — „OPOWIEŚĆ O MŁODYM CHOPINIE”. FRAGMENT CHŁOPSKIEJ ZABAWY WESELNEJ NA WSI W OKOLICACH ŻELAZOWEJ WOLI.



Przy pracy nad filmem o Chopinie: Czechosłowacki operator Tuzar dokonuje pomiaru światła. Na planie Al. Śląska w roli Konstancji Gładkowskiej.



„Opowieść o młodym Chopinie”. Koncert w Wiedniu w sali Kaertner Theater. W roli Fryderyka Chopina występuje utalentowany Czesław Wołłejko.

NOWE POLSKIE FILMY

NA WARSZTACIE REŻYSERSKIM

JERZY GIŻYCKI

W OKRESIE ubiegłych 6 lat Film Polski wyprodukował zaledwie 14 filmów pełnometrażowych.

Więcej wyprodukować nie było można. Młoda polska kinematografia odbudowywała się z gruzów i zniszczeń, organizowała się na nowych zupełnie zasadach i walczyła z ogromnymi trudnościami.

Uzyskane doświadczenia i wzrost możliwości technicznych, pozwoliły w bieżącym roku plan rozszerzyć. W obecnej chwili, w produkcji znajduje się 5 filmów fabularnych i jeden dokumentalny.

FILM O WIELKIM ARTYŚCIE

Będzie to „Opowieść o młodym Chopinie” — film biograficzny, realizowany na podstawie własnego scenariusza przez Aleksandra Forda. Chopin, który stał zawsze na wyżynach pomnika, będzie pokazany jako żywy człowiek. Zobaczymy go nie tylko jako wielkiego kompozytora, ale również jako człowieka z krwi i kości, płomiennego patriotę, związanego z polskim i europejskim ruchem postępowym.

Film o Chopinie będzie wielkim egzaminem naszej kinematografii, która zmobilizowała wszystkie najlepsze siły techniczne i artystyczne, by film o genialnym muzyku otrzymał godną oprawę. Zdjęciami kieruje czołowy operator czechosłowacki, Jarosław Tuzar. Rolę Chopina odtwarza Czesław Wołłejko. W roli Konstancji Gładkowskiej wystąpi Aleksandra

Śląska, a obok niej ponad stu wybitnych aktorów starego i młodego pokolenia.

FILM O WIELKIM GENERALE

Równie imponująco zapowiada się nowe dzieło Wandy Jakubowskiej — film biograficzny o generale Karolu Świerczewskim, p.t. „Generał Zwycięstwa”. Życie i działalność bohaterskiego generała Waltera pokazane zostaną na tle wydarzeń historycznych okresu lat 1905 — 1947. Postać Waltera odtwarza Józef Wyszomirski.

Zdjęcia rozpoczęły się niedawno pod kierunkiem operatora Stanisława Wohla w okolicach Tomaszowa, gdzie w plenerze nakręcano epizody z woj-

→ **Dojście na str.** 20

Reżyser, Aleksander Ford przy pracy nad realizacją filmu o Chopinie.



ny domowej w Hiszpanii. Obecnie ekipa pracuje w Rudzie Pabianickiej.

OPOWIEŚĆ O NOWEJ WSI

Na wsi toczy się zażarta walka klasowa, świadomość mało i średniorolnego chłopca przeobraża się — spółdzielczość czyni postępy... To wszystko pokaże film „Gromada”, realizowany przez młodych reżyserów i autorów scenariusza: Jerzego Kawalerowicza i Kazimierza Sumerskiego. Akcja filmu toczy się wokół sprawy budowy spółdzielczego młyna.

Warto podkreślić, że cały film nakręcał pod kierunkiem operatora Andrzeja Ancuty, w plenerze, w okolicach podkrakowskiej wsi Radziszów, w autentycznej scenerii.

Zespół realizatorski i obsada aktorska składa się przeważnie z młodych debutantów, a w zdjęciach bierze też udział wielu aktorów niezawodowych, przeważnie okolicznych chłopów.

MŁODZIEŻ NA MORZU

Pierwszym filmem morskim, a drugim — po „Pierwszym starcie” — młodzieżowym, jest „Załoga”, realizowana przez Jana Fethkego i Bronisława Broka według scenariusza Jana Rojewskiego. Bohaterami filmu są młodzi marynarze, uczniowie Szkoły Morskiej. Większa część akcji rozgrywa się na pokładzie szkolnego statku „Dar Pomorza”, który też stał się wspaniałym obiektem i terenem do zdjęć. Operatorami są Adolf Forbert i Władysław Lambach.

„NA PRZYKŁAD PLEWA”

Piątym wreszcie i ostatnim filmem fabularnym, będzie adaptacja nagrodzonej Nagrodą Państwową powieści Bohdana Hamery „Na przykład Pleva”. Film ten, pod tytułem „Pierwsze dni”, będzie dziełem reżyserów: Jana Rybkowskiego i Stanisława Różewicza. Zdjęcia Władysława Forberta. Scenariusz opracował autor powieści.

Większość zdjęć nakręcana będzie na terenie, na którym toczy się prawdziwa akcja filmu, czyli w hucie ostrowieckiej, w pierwszym okresie po wyzwoleniu. Obok aktorów: J. Ciecierskiego, L. Madalińskiego, C. Klimczaka i innych, wystąpi również w filmie wielu robotników z huty w Ostrowcu.

DOKUMENT O WARSZAWIE

Długometrażowy film dokumentalny poświęcony został Warszawie, jej dzielnicom, walce, zniszczeniu, odbudowie i wspaniałemu rozwojowi jako stolicy Polski Ludowej. Realizuje go Ludwik Perski, według scenariusza inż. Jankowskiego, red. Małcużyńskiego i L. Perskiego.

Trzy z wymienionych filmów, a mianowicie: „Załoga”, „Gromada” i „Opowieść o młodym Chopinie”, zostaną całkowicie ukończone i wejdą na ekrany jeszcze w tym roku. Pozostałe trzy, obejrzyć będziemy mogli w pierwszej połowie roku przyszłego.

Czekamy więc na premiery.

Zdjęcia: WFF — K. Wawrzyniak, W. Urbanowicz, M. Bielous, oraz: J. Olejniczak i S. Wasilewski.



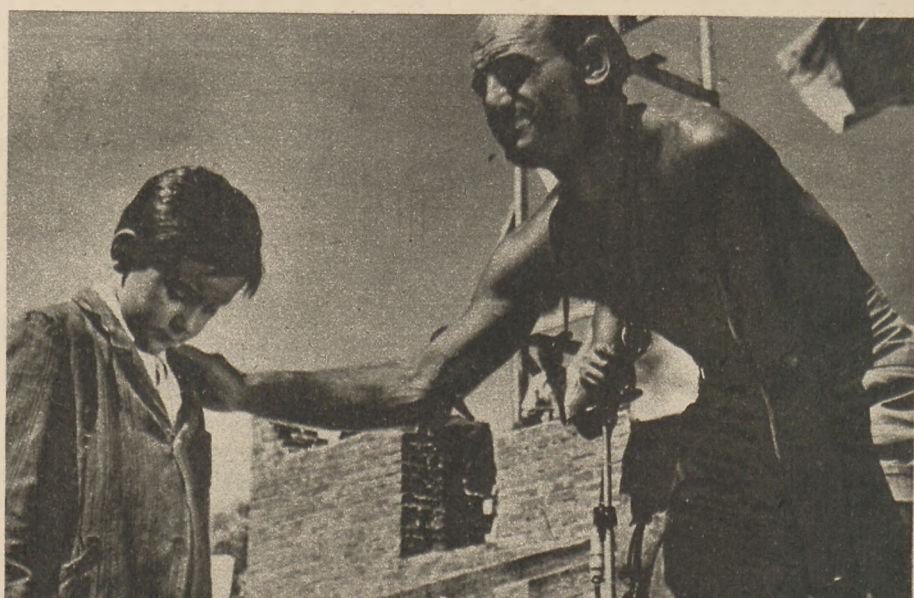
U góry — batalistyczna scena z wojny domowej w Hiszpanii. U dołu — Wanda Jakubowska udziela wskazówek aktorom w czasie zdjęć plenerowych do wielkiego filmu o generale - bohaterze, Walterze - Świerczewskim.



Na szkolnym statku „Dar Pomorza” odbywają się zdjęcia do filmu „Załoga”. Rolę kapitana statku gra Z. Skowroński. Na zdjęciu po prawej: przyszli marynarze Polskiej Marynarki Handlowej żegnają port, udając się na rejs.



„Pierwsze dni”, w/g powieści Bohdana Hamery „Na przykład Pleva”, pokażą dzieje odbudowy huty w Ostrowcu. Film reżyserują Rybkowski i Różewicz.



Jerzy Kawalerowicz instruuje aktora, Janusza Wawszczaka, jak ma grać w wiejskim filmie „Gromada”, realizowanym przez Kawalerowicza i Sumerskiego.



Ob. Jan Hetkowski jest kołodziejem produkcyjnej w Chełpowie, która i kierownikiem omlotów w spółdzielni przoduje w powiecie płońskim.



Kierownik akcji skupu w powiecie płońskim, ob. Ławicki ogląda piękny groch wyhodowany przez gospodarza wsi Gizuń ob. Sadowskiego.

GWIAZDZISTY ZJAZD ZBOŻOWY

W. JAROSZYŃSKI — Zdjęcia: Z. MAŁEK

W LOKAC za sobą długi warkocz pyłu pędzimy dobrze utrzymaną drogą do Chełpowa, spółdzielni produkcyjnej, przodującej w akcji omlotowej w powiecie płońskim.

W poszukiwaniu Zarządu spółdzielni mijamy rząd nowych, wygodnych domów bijących w oczy świeżą czerwienią cegły i sady uginające się pod ciężarem owoców. Z niewidocznego pola, skrytego za zieloną ścianą sadów dobiega miarowe prychanie traktorów.

— „Zetory” — wyjaśnia kierowca, zatrzymując wóz przed zarządem spółdzielni. Po krętych schodkach pniemy się na pierwsze piętro. W małym pokoiku zastawionym szafami i kartotekami siedzi dwoje ludzi. Młoda dziewczyna, pisząca coś zawzięcie w dużej buchalteryjnej księdze i starszy ogorzały mężczyzna o siwych oczach, w których zapalają się jasne błyski.

Pytamy czy zastaliśmy przewodniczącego spółdzielni.

— To ja — podnosi się z krzesła mężczyzna — Rutkowski.

Wyjaśniamy cel naszej wizyty i pytamy jak przebiega akcja omlotowa i plan dostaw do punktu skupu.

— Latoś — odpowiada po namyśle ob. Rutkowski — zaplanowaliśmy dostawę 12 ton zboża. Ale — ponieważ zbiory dopisały i praca idzie pomyślnie, zobowiązaliśmy się dostarczyć ponad plan 24 tony, czyli łącznie około 36 ton zboża sprzedamy w tym roku państwu. Teraz właśnie kończymy omlot owsa. Chodźcie na pole to zobaczcie jak to przebiega sprawnie.

Po drodze ob. Rutkowski opowiada nam w paru słowach dzieje spółdzielni. Spółdzielnia Chełpowa powstała w roku 1948, początkowo zrzeszając 20% gospodarstw. A w roku następnym nie było już ani jednego indywidualnego gospodarstwa. Chłopi Chełpowa doskonale zrozumieli jakie korzyści płyną z gospodarki zespołowej. Rozwój spółdzielni ilustruje najlepiej wzrost dniówki obrachunkowej w ciągu tych trzech lat. Podczas gdy w roku 1949 wysokość jej wynosiła 21 złotych, teraz osiąga 32 zł.

Warkot silnika i poszum słomy staje się coraz bliższy. Podchodzimy do młocarni, za którą piętrzy się olbrzymia sterta wymłóconej słomy. Jeden „Zetor” pełni rolę lokomobili, napędzając młocarnię, drugi pracownice dowozi sterty snopów niewymłóconego owsa. Wokół młocarni jak w ukropie. Nie zważając na żar lejący się z nieba, uwijają się ludzie. Nic dziwnego. Dzienny omlot wynosi od 8 do 10 ton ziarna! Potężna młocarnia produkcji radzieckiej pochłania całe kopy snopów, ciężko dysząc chmurami plew i pyłu, leje do worków złocistą strugę ziarna.

Mijamy Białą Nową, Zagoty i po godzinie jazdy zbliżamy się do miasteczka. Po drodze ciągle musimy mijać ciągnące w tę samą stronę długie sznury wozów, z workami pełnymi ziarna. Jadą gospodarze Anczewa, Zakrzewa, Giżunia, Rydzewa, na wielki zbożowy zjazd gwiazdzisty.

Z trudem torując sobie drogę docieramy na rynek. Przed nami za ogrodzeniem z rozwartą szeroko gardzielią bramy, zatłoczoną wozami, bieleją mury spichrza. Przed wrotami spichrza stoi ciężki 7-tonowy „Fiat” z przyczepą, pełen załadowanych worków. Za nim kolejka wozów z workami. To powiat płoński wiezie chleb ojczyźnie.





Płot ma przeszło 2 m, przebycie go z karabinem w ręku jest nielatte



Jan Migda przebiega równoważnię. Koledzy: Ekel i Andrzej Lech przypatrują się z najwyższą uwagą. Za chwilę wystartują i oni.



A teraz trzeba odważnie zeskoczyć do rowu głębokości dwóch metrów i wydostać się z niego po pochylni. Nie jest to takie proste.

SPORT

TOR PRZESZKÓD

ZA DWA tygodnie rozpoczynają się największe ogólnokrajowe igrzyska sportowe — Spartakiada. Obok innych gałęzi sportu, pierwszy raz wprowadzona zostaje nowa konkurencja — tor przeszkód.

Tor przeszkód... Słyszeliśmy o nim wiele, wiemy, że do zdobycia odznaki SPO, jedną z norm jest właśnie tor przeszkód, wiemy, że trzeba tam czołgać się pod drutami, przechodzić przez wysokie płoty, że trzeba rzucać granatem, chodzić po równoważni. Torów przeszkód jest jednak jeszcze niewiele i nie każdy miał sposobność potrenować, nie każdy nawet widział trening.

— Zobaczmy jak on wygląda...

Tak powiedzieli sobie trzej młodzi obywatele: Jerzy Ekel i Andrzej Lech — studenci, oraz Jan Migda — pracownik Warszawskiego Zjednoczenia Wodno-Inżynierskiego i niewiele się zastanawiając, poszli do Szkolnego Parku Sportowego.

Na pierwszy rzut oka wyglądało wszystko bardzo prosto i łatwo. Na przestrzeni 150 metrów trzeba przebyć zaskieki z drutu, przejść po równoważni, przebyć trzy różnej wysokości płoty, pokonać dwa rowy, rzucić granatem i wy-

mierzyć słomianym manekinom trzy uderzenia bagnietem i kolbą.

Ot i wszystko. Wprawdzie tor przeszkód przebywać trzeba z ćwiczebnym karabinem, ale cóż to jest dla młodych, wysportowanych ludzi...

Tymczasem okazało się, że tor przeszkód jest konkurencją dość trudną. Norma SPO przewiduje wprawdzie na przebycie go aż 2 minuty, ale już po pierwszej próbie młodzi ludzie stwierdzili, że to wcale nie jest zbyt wiele. Okazało się, że tor przeszkód wymaga bardzo dobrego ogólnego przygotowania, wymaga wszechstronnego treningu, znajomości techniki rzutów, skoków, biegów i gimnastyki, że pokonywanie go w dobrym czasie wcale nie jest proste.

Nie jest proste, nie jest łatwe, ale za to jakże ciekawe. Skomplikowana ta konkurencja wygląda w dobrym wykonaniu naprawdę pięknie, pozwalając zawodnikowi w pełni wykazać umiejętności i wyrobienie sportowe.

Ekel, Lech i Migda zapalili się do tego nowego sportu i postanowili go trenować nie tylko jako osobną konkurencję, ale również jako znakomite przygotowanie do uprawiania wszelkich innych sportów.

Jak zaś trenują — fragmenty treningu obejrzyć możecie na naszych zdjęciach.

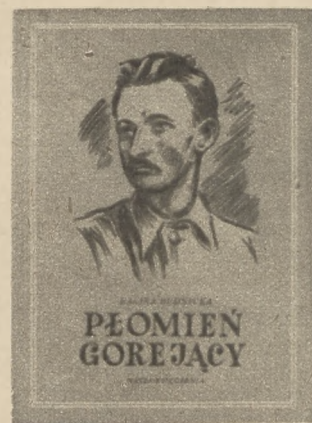
Tor przeszkód pierwszy raz rozgrywany będzie na Spartakiadzie, ale wydaje się, że jeszcze w tym roku tę nową gałąź sportu zaczną uprawiać w klubach i kołach sportowych, a zwłaszcza w LZS-ach, gdzie ze względu na warunki terenowe i prostotę urządzenia powinna się stać specjalnie popularną.

PRZEZ ZASIEKI TRZEBA SIĘ CZOŁGAĆ SZYBKO, ALE OSTROŻNIE, UWAŻAJĄC NA DRUT KOLCZYSTY.



Ukazała się
powieść dla dzieci i młodzieży

O FELIKSIE DZIERŻYŃSKIM



str. 217

zł. 10.50

I. W. „NASZA KSIĘGARNIA“

DLACZEGO SZPECIĆ?

CZY LUBIMY siedzieć w ładnie urządzonej lokalu? Owszem, lubimy. Czy lubimy, jak taki ładnie urządzonej lokal jest bez żadnego rozsądnego powodu paskudnie zszpeczony? Nie, nie lubimy.

A jednak spójrzcie na zdjęcie:



To są znaki inwentaryzacyjne. Znaki potrzebne i na całym inwentarzu ruchomym trzeba je umieścić, ale w wielu kawiarniach i gospodach znaki te umieszczane są w miejscach najbardziej widocznych. Dlaczego? — Ot, po prostu: tym, którzy numerują stoliki i krzesła, nie chce się ich odwrócić, aby namalować znaki w miejscu niewidocznym.

Nas za to te znaki nic nie obchodzą. Nie chcemy ich widzieć, nie chcemy żeby ładnie zaprojektowane wnętrza były szpeczone tylko dlatego, że komuś tam nie chce się odwrócić krzesła, czy stolika.

Prosimy o zmazanie.

SWIAT TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala: 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12, tel. 4-01-80. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch“, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr I-21040/110.

Zakłady Wklesłodrukowe RSW „Prasa“, Warszawa, Okopowa 58. 2-B 38390



Zapytajcie naszych stałych odbiorców!
Powiedzą wam: Nie znamy lepszych konserw!



KONSERWY WUJA HARRY'EGO

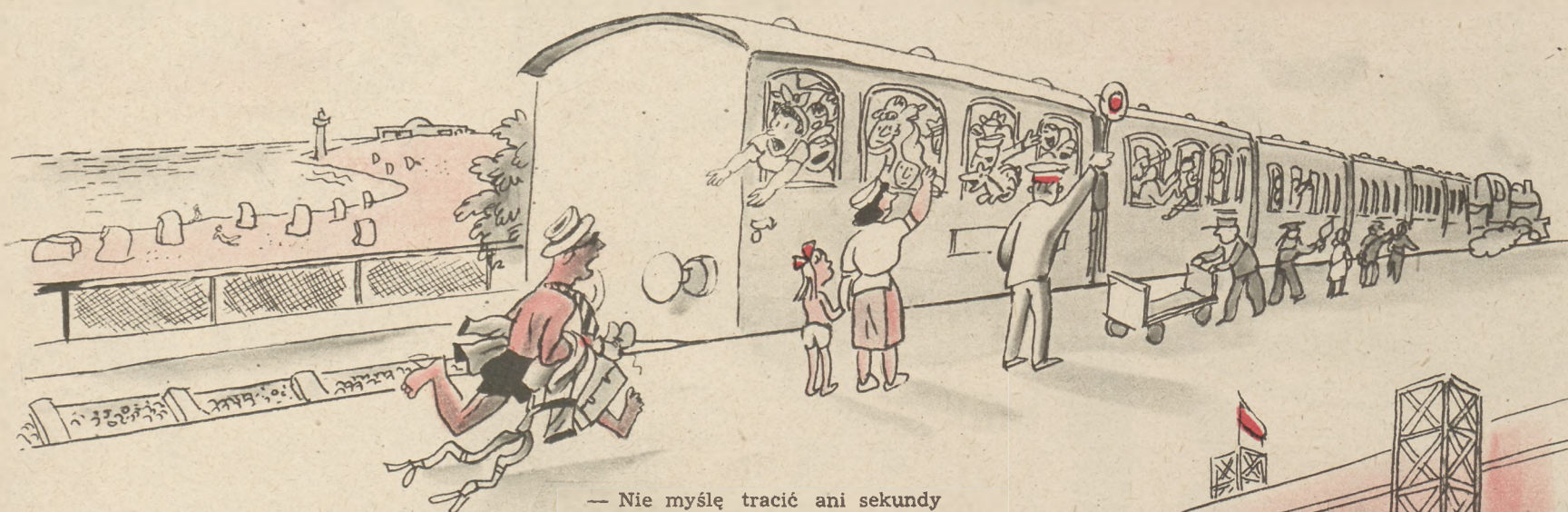
GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO NA EUROPE I BLISKI WSCHÓD:
 EISENHOWER, McCLOY, HARRIMAN and Co.

Najlepsze konserwy świata!
NAGRODZONE NA WYSTAWACH
 w Hiroszynie, Korei, Wietnamie,
 Jugosławii, Iranie i wielu innych.

Niblets whole kernel **Corn** • **Green Giant Peas**

Rewia **SWIAT**

pod dyktando TADEUSZA TREPKOWSKIEGO



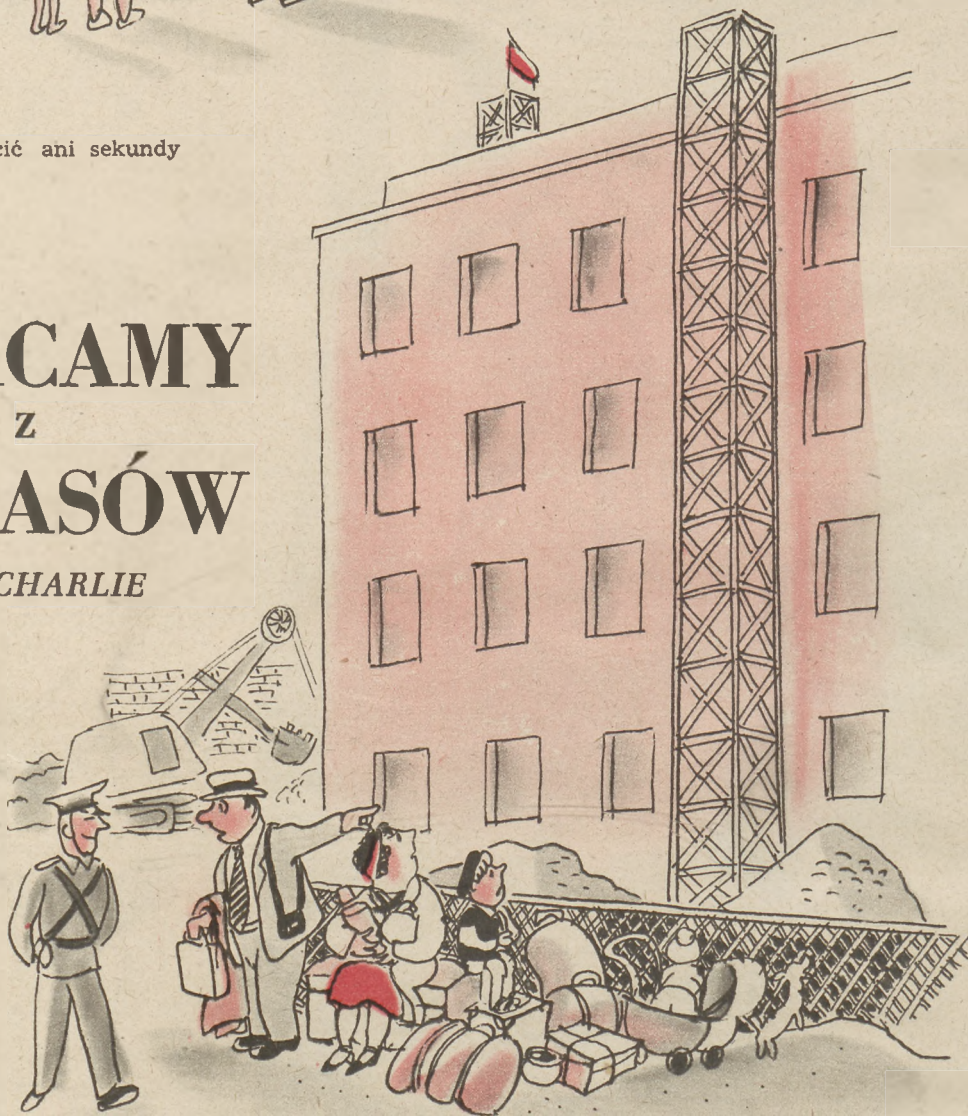
— Nie myślę tracić ani sekundy z mojego urlopu!...



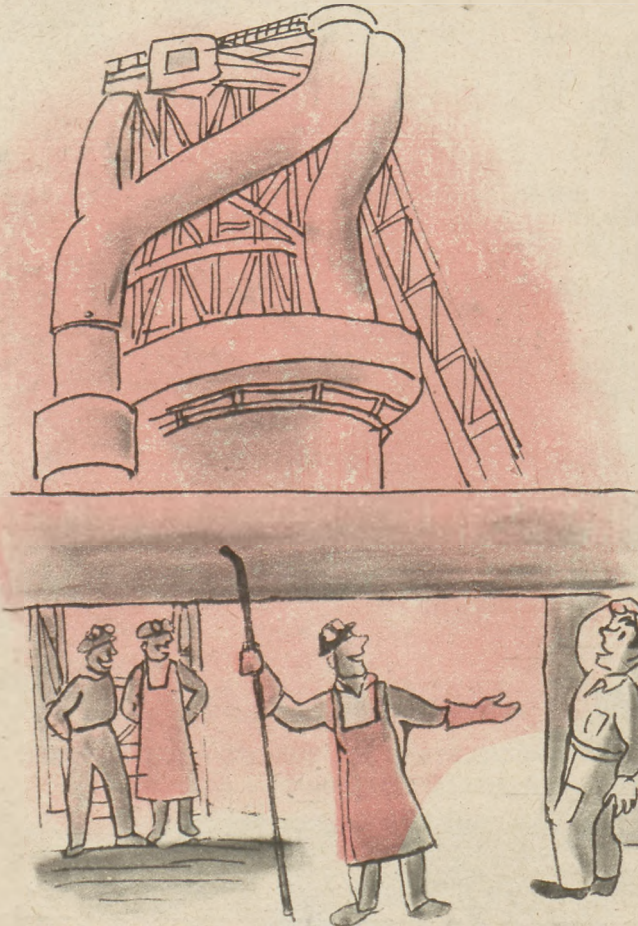
— Czy tylko opaleniz-
na nie zejdzie?...

WRACAMY Z WCZASÓW

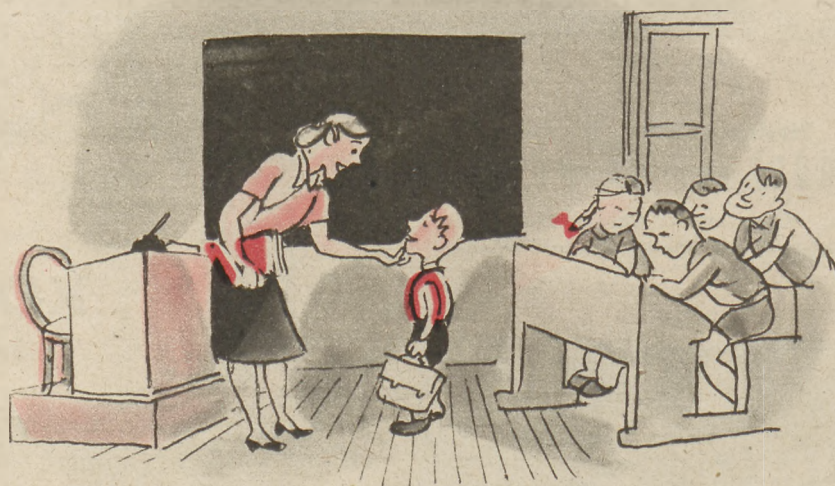
Rys. CHARLIE



— Przepraszam, czy obywatel nie wie, co się stało z dom-
kiem, który stał w tym miejscu?...



— Proszę się poznać: Piec „B” — ob. Malina,
pracownik huty „Kościuszko”, powracający
z wczasów...



— To ty, mój mały, chcesz zapisać się do szkoły?
— Tak, proszę pani, ja ukończyłem siedem lat przed
terminem!...